



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 30, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy  
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

### TRADYCJA I PRACA KOBIEC W HOLANDYI.

Holandya jest krajem spokojnego, trzeźwego życia. Germańskie plemię Batawów w ciężkiej pracy i ciągłych zapasach z morzem, które jak niespożywający nigdy nieprzyjaciel oblegało kraj jego, wyrobiło się na lud wytrwały, mocno hartowny i historya Niderlandów w długiej walce z Hiszpanią, wykazuje też owe cnoty w spotęgowaniu bohaterkiem. Po zapasach z żywiołem, przyszło ścięranie się z ludźmi, i książę Alba odegrał w moralnym rozwoju Niderlandów rolę, jaką Słowacki nazaczył dla *Króla Duchy*: wychował ludności ich ostro w twardej szkole próby dziejowej, zahartował jak ogień żelazo, i naród holenderski z natury swej ciężki i gruby, jak w ogóle wszystkie ludy jego szczepu, nosi przecież na sobie cechę historycznej swej przeszłości, cechę mocno odbitą. Nie ma on wyższych, idealnych polotów ducha, jak narody romańskiego, słowiańskiego pochodzenia, wyrobił sobie przecież jakąś poezję drugiego gatunku, którą najlepiej ujawnia i charakteryzuje holenderska szkoła w malarstwie. Sztuka nie przeniknęła żadną tęsknotą do nadziemskiego piękna, nadziemskiego natchnienia niepotrzebująca, nie wychodzi poza pospolity realizm, który przecież umie się przeniknąć pewną poezją ziemską, powstałą z tak silnego przywiązania do otoczenia swego, do rzeczy swojskich, że ich piękność powszednią urokiem artyzmu otacza i w sferę sztuki przenosi. Nie jest to społeczność wielkich serc, ma też ukochania ścięsnione, ale mocne i dlatego jak Rembrandt rzuca na nie światło, będące odbiciem ziemskim rzeczy niebiańskich, łuną od boskich blasków ideału pochwyconą. Ludność holenderska zwyciężywszy naturę swego ubożego kraju i ugruntowawszy twardą pracą dziejową warunki swego bytu, zdaje się, patrząc na jego realne dziedziny mówić Bogu, jak uczniowie Chry-

stusowi na górze Tabor: — Dobrze nam tu jest Panie, i pragniemy tu zostać!... Ale naród ten praktyczny i z temperamentu spokojny, wyciąga sobie z tej właśnie praktyczności swojej wielkie cnoty, których mogą się od niego uczyć ludy wyższego obdarowania duchowego. Postęp nie jest u niego nigdy takim zapaleniem się namiętnem do nowej idei, aby poniewierał to, co dawne, poniżał je w oczach własnych i zrywał nie tradycyi. Snuje on raczej w nieprzerwywającej się ciągłości wątek pracy wiekowej i ta łączność rozumna, ten niestargany węzeł przeszłości z przyszłością musi koniecznie przynosić z sobą w dziedzinę jego rozwoju cenne przymioty swoje: nieskłoną harmonią missyjnej swej myśli w dziejach, i niemarnowania sił na nieużyteczne rozrywanie tego, co z natury swej spojone być musi, a głównie ludność holenderska nie uboży sobie serc na odrywanie się zimne od pokoleń, które jej są ojcami, nie uboży sobie moralnego swego panteonu, skarbami jego pomiatając.

Tak przynajmniej jest z kobietą holenderską. I ona uczuła prąd nowej idei, wyższe pragnienie światła, i tam, jak gdzieindziej, ekonomiczna konieczność zmusza kobiety do szukania sobie nowych dróg pracy. Podług dzieła holenderskiego publicysty Dra Pellegen „De Toekomst der Vrouw (o przyszłości kobiety) jedna piąta część kobiet pozostaje tam samotna, więc krzątanie się tamtejszego społeczeństwa o otworzenie kobiecie szerszego pola pracy i zarobku jest tak niezbędnem, jak prawo do bytu dla znacznej części ludności. Czytelniczki *Bluszczu* przypominają sobie zapewne, że w tym kierunku wiele zrobiono. Podług prof. van der Wyk, autora dzieła *O wychowaniu kobiety* (De Opevedig der Vrouw) całe wychowanie i wykształcenie dziewcząt holenderskich jest w rękach kobiecych, istnieje też dwie szkoły pedagogicznych dla kształcenia nauczycielek. Od r. 1867 ministerium oświecenia przypuściło kobiety do egzaminów aptekarskich, a gdy otwarta w r. 1871 w Amsterdamie szkoła realna dla kobiet, dała sposobność nabywania potrzebnej w tym kierunku nauki, wiele bardzo dziewcząt i kobiet, a szczególnie córek i żon

doktorów prowincjonalnych, otrzymawszy stosowne stopnie farmaceutyczne, już z zajęć tego zawodu korzysta. Przytem istnieje w Holandyi po całym kraju rozgałęzione stowarzyszenie pracy kobiecej „Arbeit adelt (Praca uszlachetnia)“ którego działanie od 1866 roku popiera moralnie pismo dla kobiet „Ons Streven“ (Nasze usiłowania) redagowane przez kobietę pod skromnym pseudonimem: Agata. Ale, jak wspomniałam, kobieta holenderska spiesząca z postępem czasu w nowym dla niej kierunku, usiłuje z miłosną troskliwością strzedz drogich jej tradycy rodzinnych, tych tradycy przeszłości, które powinny zawsze ogrzewać serca pokolenia nowego wtedy właśnie, gdy ubiega się za nową ideą postępu. Trud prac nowych musi iść w parze z okolicznościami życia nowymi, ale duch dobra i piękna moralnego, nigdy niezmienny, jednakowo ożywiać nas powinien, i oto kobiety holenderskie zawiązując drugie stowarzyszenie dla poparcia pracy kobiecej, chciały zmanifestować widocznie myśl tę, razem rozumną i serdecznem ciepłem uczucia ogrzaną. Poszukały zatem w historycznej przeszłości Holandyi takiej kobiety, która mogła stanąć przed społecznością kobiet wszelkiego czasu, jako szlachetny wzór do naśladowania i uczyniły ją patronką nowego ześrodkowania sił swoich.

„Stowarzyszenie Maryi Tesselschade“ oto nazwa nowego stowarzyszenia, które przez też nazwę przemawia niejako do społeczeństwa swojego: — Ponieważ na drogach pracy nowej, na nowych działalności kierunkach pragniemy tak wierzyć, kochać i czuć jak kobieta dawna i nie wyłamywać się niczem z kobiecej natury naszej, wypisałyśmy na sztandarze pracy podjętej imię takiej szlachetnej, która już przed wiekami umiała zgodzić w sobie wszystko, co tylko jest dostojnością ducha ludzkiego w połączeniu ze świętem pojęciem obowiązku kobiety!

Marya Tesselschade, to poetka i sztukmistrzyni z początków XVII wieku, to razem kobieta wzniosłego uczucia i dostojnej cnoty, wysokiego pojęcia obowiązku. Kochała szlachetnego i przez szlachetnego kochaną, była, umiała przecież poświęcić doskonałe szczęście, z tej miłości płynące, dla rzeczy



wyższego znaczenia niż szczęście dwóch serc ludzkich. Cierpiała i zwyciężyła cierpienie; poezya i sztuka była jej mistrzynią w mądrości wyższej niż umiejętność codziennego żywota, jednakże zasiadła cicho przy ognisku domowym uczuciowego człowieka, była żoną, matką, była gospodarną przewodniczką domu swego, a gdy jej już nie stało, znakomity poeta jej narodu napisał smutnie na płycie jej grobowego kamienia:

Nikt zgoła

Czem była, odmalować dźwiękiem słów nie zdoła!

Urodzona 1594 r. Marya Tesselschade, albo raczej Texelschade, była córką bogatego Amsterdamskiego kupca, Römera Vischer, który dziwnym jakimś uczuciem wiedziony, do pięknego imienia: Marya, dodał drugie, nietylko dla naszego ucha oryginalnie brzmiące, a które w dosłownym tłumaczeniu znaczy: „Texelska szkoda“, gdyż urodzenie dziewczynki zbiegło się smutnym przypadkiem z rozbitciem okrętu ojca przy jednej z wysp morza Północnego: Texel. Nie stała się przecież smutną szkodą rodzicielskiego żywota, choć los, nie łaskaw na nią od pierwszego świtu jej życia, zrobił ją w lat kilka sierotą, odbierając dziecięciu ciepło macierzyńskiej piersi, i ogłaczając przyszłość kobiety z pomocy macierzyńskiego wychowania. Dziesięć lat starsza siostra Anna, również dziecko jeszcze więcej opieki potrzebujące, jak ją dać zdolne, przyjęła przecież na siebie trudne zastępstwo macierzyństwa, lecz ze boleś jest palącym żarem, pod którym duch prędko dojrzała, że prawdziwe a gorące uczucie stawa się często natchnioną mądrością, Marya Tesselschade nie miała ani źle prowadzonego, ani opuszczonego dzieciństwa, a przeciwnie musiała być otoczona wielką i tkliwą starannością, tak tej siostry kochającej, jak i troskliwego ojca, gdyż w pierwszych zaledwie latach dziewięcioletniego rozkwitu już imię jej zaznacza się, wpisane między użone towarzystwo najznakomitszych ówczesnych ludzi Holandii: „Muyder Kring“. — Hooft, do dziś dnia wysoce ceniony poeta i historyk holenderski, który jak Dante we Włoszech, urobił w swoim kraju popolite ludowe narzecze do godności języka literackiego i za wpływem poezyi włoskiej nadał mu metryczność i zdolność wypowiedzania się w poezyi, był założycielem i głową tego uczonego towarzystwa, które na wzór włoski i pod wpływem włoskiego ducha założone, dostało nazwę swą od dziedzicznego zamku założyciela poety: Muyden. Vondel i Cats, dwóch również wysoko obdarowanych i do dziś dnia sławnych poetów holenderskich jednocześnie w towarzystwie blaski sławy i ducha swego, a wśród tego znakomitego grona jasniały dwie postacie kobiece, dwie siostry Vischer: Anna i Marya, obie piękne, wysokiej oglady towarzyskiej i niepospolitych darów ducha, a przez ojca, także poetę cenionego w swym czasie, wcześniej w towarzystwie pierwszych znakomitości swego kraju do rzadkiego rozwoju umysłowego doprowadzone. Römer Vischer, poeta piszący filozoficzno-moralne poezye, ujęte w krótkie zdania na wzór przysłów Salomona, był przytem człowiekiem bardzo bogatym, którego dom otwarty dla uczonych, artystów i poetów był ogniskiem umysłowego życia Amsterdamu, co wtedy miało w Holandii znaczenie niemal publiczne i było zasługą publiczną dla rozwoju inteligencji ojczystej, tak jak nią były książące dwory we Włoszech, a później salony znakomitych kobiet w Paryżu. Römer Vischer był też drugostronnie założycielem i naczelnikiem innego towarzystwa literackiego „Kwitających w miłości“ zatem niezwykła atmosfera sztuki i poezyi przenikała cały dom, o którym w dziełach poety Vondel zostało takie wspomnienie: „Komnaty nigdy nie bywają tu puste, po schodach rozlegają się zawsze kroki malarzy i sztukmistrzów, poetów i śpiewaków“.

Marya Tesselschade, artystka wszystkimi stronami swej istoty, słyneła wtedy głównie talentem muzycznym i pięknym, wysokiej skali głosem, oraz rzadkimi zdolnościami w kierunku plastycznym, które przecież na średniowieczny, dziś zapomniany sposób zużytkowała. Ozdobne pisanie na pergaminie, gdzie każda litera była miniaturą malaturą, dokonana najżywszymi farbami a pełną bogatych i dla fantazyi szerokie pole otwierających ozdób, kwiatów, ptaków i figur ludzkich w kunsztowne arabeski ujętych, stanowiło jeden z talentów Maryi Tesselscha-

de. Przytem modelowała ona z wosku kwiaty i owoce, które kolorowane następnie były również pracą artystyczną; głównie przecież oddawała się rysunkowi a raczej grawirowaniu na szkle dyamentem i dotąd przechowywują się w zbiorach pamiątek z owego czasu piękne czary i wazy szklane, kunsztownie delikatnymi rysunkami pokryte, które młoda sztukmistrzyni wykonywała dla znakomitych swych przyjaciół. Przytem piękność jej rozkwitała w coraz wdzięczniej rozwijających się powabach, wesołość żywej a pełnej uczucia duszy nadawała tej piękności urok nowy, czyniąc z niej podług wspomnień ówczesnych pisarzy idealną postać takiej istoty kobiecej, której wdzięk zdaje się wypromieniać z siebie siłą uszczęśliwiającą. Piękna dziewczica musiała też być wtedy sama szczęśliwą niewymownie—szczęśliwą przez używanie słodkiej terażniejszości, szczęśliwą przez słodsze nadzieje tego nieznanego jutro, o którym marzy każda młodość. Nawet artyzm jej był niejako tem rozkosznym spijaniem srebrnych kropelek rosy z kwiatów, jak to przedstawił jakiś malarz, rozkochany w bogini wiosennego poranku. Dla Maryi Tesselschade był też to poranek wiosenny: serce otwierało się dopiero do słońca i uśmiech tego pierwszego rozkwitu był wesołością i chwytnością bez wysiłku piękna lekkiego. Miłość, cierpienie i poezya prawdziwa miały przyjść dopiero później—miały przyjść razem jak siostry trzymające się za ręce i splecione z sobą na nierozzerwany związek.

(Dokończenie nastąpi).

## ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPÓŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

— Jakże ty wróżysz?... — podchwycił Stojan, który w gronie rodzinnem sam jeden przedstawiał w tej chwili połowę mężką—z włosów, z ognia, z wody, z wosku czy z dłoni?... — Z dłoni—odpowiedziała zapytana, podchwytną wyraz ostatni.

— Powróź-że mnie.

Stojan rękę wyciągnął, Greczynka się zbliżyła, w dłoni się wpatrywała i, po chwili głosem drżącym, prawie poczęła, że Stojana czeka w przyszłości wielkie szczęście, wielkie bogactwo i wielka sława.

— Chyba, że Garibaldi do Zarnicy przyjdzie — rzekł Stojan tonem żartobliwym.

Powiedzenie to Greczynka zanotowała sobie w pamięci.

— Powróź-że i mnie — odezwał się głos srebrzysty.

Greczynka wzrok podniosła i ujrzała przed sobą, dłoń do niej wyciągającą, przesłaniczną dziewczynę, znajdującą się w dobie pełnego rozwoju. Wejrzenie słodkie a ponętne rysy przedstawiające czystość linii zupełną, postać cała rozkoszą dyszącą, na karmimowych ustach uśmiech radosny, zastanowiły ją. Westchnęła. Zamiast na dłoń w oczy jej patrzyła.

— Wróż-że i mnie, jak bratu memu—powtórzyło dziewczę tonem prosby niecierplivej.

Stara zwróciła oczy na jej dłoń.

— Ty—odezwała się—ty... będziesz... synową!... I zacięła się. Powiedzieć chciała: moja.

Zaczęła więc znów:

— Ty będziesz... synową... niewiasty starej.

— Ale, czy będę szczęśliwą?... — podchwyciło dziewczę.

— Szczęśliwą?... — zapytała Greczynka, jakby w przestkach.

— Będę więc nieszczęśliwą?... —

— Niel... niel... — odparła Greczynka, wyciągając rękę, jakby się od napaści bronila. Niel... Ja tego nie mówię. Niech mnie Pan Bóg broni od mówienia czegoś podobnego!... Niel... Ach!...

Aleksandrowa odezwała się półgłosem:

— Ona na umyśle trochę pomieszana.

— Tak—potwierdził Stojan. Widuję ją na mieście. Chodzi, zatrzymuje się, kręci się tu i ówdzie niewiedząc czego. Widywałem taką w Bukareszcie, nazywano ją waryatką.

Oznajmienie to wzbudziło społeczenie powszechne dla matki Kir-Michałakiego. Stara Szumlańska posadziła ją obok siebie i zapytała: czy nie głodna?

Och, głodnam—wyjąknęła.

Przyniesiono chleba, sera i owoców. Stara zjadła to łapczywie. Podano jej wina szklanekę. Wypiła.

Odtąd często do domu Szumlańskiego zachodziła, wychodziła nakarmiona i napojona. Wynikła ztąd dla niej korzyść ogromna, dla Kir-Michałakiego jednak nie wielka, stara bowiem, z obawy, ażeby córka nie popsuła jej interesów w domu, w którym jedzenie dostawała, bywanie w domu tym zachowywała w tajemnicy, nie powiadając o tem synowi w sprawozdaniach wieczornych. Z tego powodu sprawozdania jej uboższymi pod względem szczegółów się stały, aniżeli sprawozdania córki. Uderzyło to Kir-Michałakiego.

— Ej, stara! — przemówił razu pewnego. Tyś jak widzę, ogłuchła. Trzeba ci chyba uszy poprzewiercać.

Stara usta ścięła, oczy spuściła i nic na to nie rzekła.

Raporta do Zia-paszy szły po raportach, ciągiem jednym i regularnym. Jordaki co wrócił z Ruszczuku, to znów jechał. Mudir ze swojej strony znosił się wprost z Seferem paszą i Grek, ku wielkiemu a coraz to wzrastającemu zdziwieniu swemu, przekonywał się, że effendi dostaje wiadomości o tem, co się między Bulgarami dzieje za pośrednictwem nie jego.

— Cóż tam słysząc?... —

Od tego zazwyczaj rozpoczynały się rozmowy pomiędzy nimi.

Kir-Michałaki odpowiadał na zapytanie i nigdy odpowiedź jego nie była dla mudira nowością żadną. Ktoś był, co mu tej nowości już udzielił.

Grek w głowę zachodził. Nie umiał sobie fenomenu tego wytłumaczyć. Czyżby Bulgar jaki dał się ująć i służył za pośrednika we względzie informacyi? Przychodził mu cudzoziemiec na myśl, ten jednak tak zdaleka od władzy tureckiej i od Turków w ogólności się trzymał i tak wyłącznie z Bulgarami się zadawał, że podejrzenia wszelkie, osoby jego się tyżące, same przez się upadały. Dla rozwiązania zagadki tej, Grek wziął na oko kanak, śledzić począł mudira samego; napróżno jednak stracił czas i naraził się na bezsenność w nocach kilku—nie dostrzegł nic takiego, coby mu dawało skazówkę jakąś.

— Słuchaj-no ty, strzygo młodsza — przemówił razu pewnego do siostry — ty lepsze masz jak stara oczy i uszy... Stań-że mi jutro naprzeciwko wrót domu Szumlańskiego i stój od rana do wieczora. Uważaj kto wejdzie i kto wyjdzie, czy to człowiek, czy pies, czy kot. Wieczorem wymienisz mi wszystkich po porządku.

Siostra gębę otworzyła i oczy do góry wzniosła.

Nazajutrz, od rana do wieczora, naprzeciwko wrót domu Szumlańskiego, stała postać niewieścia czarnym okryta płaszczem, białą owinięta zasłoną, z pod której oczy jej tylko świeciły — a oczy te w bramę wbite były. Gdy kto wchodził lub wychodził postać podsuwała się, udając że się oddala, wnet jednak na miejsce dawne powracała i stawała.

Wieczorem siostra bratu sprawę zdawała. Wymieniała po porządku imion dużo, bulgarkich, tureckich, greckich nawet. Byli to chorzy co u doktora rady zasięgali. Kir-Michałaki domyślił się tego; uderzyła go jednak liczba dzieci płci obojej — brwi zmarszczył i zamyslił się.

Zamyslenie to przyrównałby się dało do chmury piorunami brzemiennej. Szczęściem błędą drogą wzięło. Kir-Michałakiemu na myśl przyszło, że od dzieci tych możnaby się czegoś dowiedzieć, z czego by się użytek zrobić dało.

— I dzieci przecie mają uszy... słyszą i pamiętają — rzekł sam do siebie.

We względzie tym miał rację tem większą, że pomiędzy temi, które siostra wyliczyła, znajdowali się chłopcy i dziewczęta po lat dziesięć, dwanaście. Z dziewczętami sprawa byłaby trudniejszą z powodu czuwania rodziców nad niemi; chłopców jednak, samym sobie pozostawionych, zwabić łatwo, na lada co.



Jakoż Kir-Michałaki chwycił się sposobu tego. Zwabił jednego, wyrostka dwunastoletniego, do sklepu. Roztropność, tryskająca chłopakowi z oczów dobrą wydawała się wróżbą. Ofiarował mu łakoci i zapytał czy ma pariczki.

— Nie zapracowałem jeszcze — odparł chłopiec.

— A ojciec ci nie daje?...

— Za cóżby dawać miał?...

— Może nie daje dla tego, że chodzisz do Szumlańskiego.

— Do domu Szumlańskiego — poprawił chłopiec. Ja Szumlańskiego nie widuję nigdy.

— Kogoż widzisz?...

— Doktorowę....

— Cóż robisz u niej?...

— Co? rzecz wiadoma. Ona jedno drugie rozpowiada i sztuki różne pokazuje, my słuchamy i patrzemy....

— Cóż naprzykład, rozpowiada?...

— Hee!... — odezwał się chłopak. O tem by było dużo do gadania.

— Przecie?... O czem gadała dziś?...

— O familiach roślin.

— O familiach roślin?... — powtórzył Grek, nie wiedząc co by to znaczyć miało.

— O patyczkach, o listkach, o kielichach kwiatów.

Grek usta pogardliwie wykrzywił i od chłopca się odwrócił. Ten mu jeszcze prawił o kielichach, o listkach, patyczkach, lecz on go już nie słuchał.

Pierwsza ta próba nie zraziła Kir-Michałakiego. Wyszedł na miasto w celu poszukania spotkania z innym chłopcem, z tych, co mu siostra wyliczyła. Szukał nie długo. Z boku dżamii zoczył ich sześciu razem, siedzących na ziemi i usypujących podłużne jakieś a dziwacznie pokręcone kopce z kurzu. Zbliżył się do nich, stanął i przypatrując się robocie tej przez chwilę, zapytał:

— Co to?...

— Bałkany — odparł jeden. Tu się zaczynają, a tu kończą a to odszoki ich, jedne idą na południe... oto one... drugie....

— Chodźcie wy do Szumlańskiego?...

— Nie — odrzekł jeden z chłopaków od niechęcia zajęty usypywaniem wschodnich kończyn bałkańskich.

— Chodźcie jednak do domu Szumlańskiego?...

— Chodźmy!...

— Do kogo?...

— Do doktorowej!...

— Cóż tam u niej porabiacie?...

— Cóżbyśmy robić mieli!... Sypimy Bałkany.

Grek usta pogardliwie wykrzywił, odwrócił się i odszedł, uważając za bezużyteczne dalsze prób podobnych powtarzanie. Chciał się dowiedzieć — dowiedział się. Odpowiedź chłopca pierwszego i odpowiedzi tych sześciu przekonały go dowodnie, że doktorowa głupstwami się bawi.

## XIX.

### Dziura.

W rozdziale tym wykonać musimy skok znaczny przenosząc się rzutem jednym z Zarnicy w świat, do którego wprowadzam czytelnika przez dziurę. Sposób ten wprowadzenia w świat kogoś — chociażby i czytelnika — wygląda dość oryginalnie. Wybrałem go jednak nie dla oryginalności, ale dlatego, że nadaje się on dobrze do rozjaśnienia wypadków, któremi się zajmuje powieść nasza.

A więc, chodźmy, czytelniku łaskawy, do owej dziury — do izby obszernej, otapetowanej, dwoma dużymi oknami oświetlonej, jednym wielkich rozmiarów zwierciadłem i kilkoma wyobrażającymi wiekopomne Napoleona I bitwy kolorowanymi rycinami przyozdobionej. Ryciny w ramach pozłacanych, pod każdą z nich legenda drobno drukowana opowiada w trzech językach, francuskim, niemieckim i angielskim, przedstawione przez bezimiennego artystę zdarzenie. Tu Bonaparte generał, człek szczupły z długim włosiem, głowę pochylił, jakby zamierzał czołem uderzyć, i płaszc na ramionach przytrzymuje — wyraźnie z wiatrem się mocuje, który go z nóg garnie. Dokoła góry, pod nim i za nim wojka mnóstwo. Legenda poucza, że rycina wyobraża

przejście przez górę św. Bernarda. Druga przedstawia tryumf pod Jena, trzecia tryumf pod Austerlitz, czwarta pogrom pod Waterloo. Któż rycin tych nie zna? Kto nie oglądał ich po domostwach zajezdnych, po oberżach, po restauracjach, kawiarniach i cukierniach nie pierwszorzędnym? Domyślamy się przeto, że izba ta wchodzi w skład domostwa zajezdnego, oberży, restauracji, kawiarni lub cukierni.

Domysł sprawdzimy później, obecnie zaś rozpatrzmy się w niej dobrze.

W oknach kraty żelazne, okienice ze środka zamknięte i story geste. W ścianach troje drzwi. Na suficie sztukaterie symetrycznie ułożone do punktu środkowego, w którym wbity mocny hak. Na haku pajak zawieszony. Podłoga naga i nie kośniecznie czysta, deski noszą na sobie ślady wygniecionie przez obcas i znaki wypalenia od cygar, nie licząc plam innego rodzaju.

Oto jak prezentuje się ta izba, którą dziurą nazwał. Gdyby ją kobiercem zasłać, stosownie przyozdobić, w kanapy, fotele i stoły zaopatrzyć, mogłaby ująć za salonik cale elegancki. Urządzono ją jednak nie na salon, umeblowanie jej bowiem składało się z dwóch skórą obitych a pod zwierciadłem postawionych krzesel, z jednego dużego, ciężkiego stołu przed krzesłami i ze dwudziestu kilku stołków drewnianych z poręczami. Zresztą nie było nic. Ochl przepraszam. Pod Bonapartem przez górę św. Bernarda przechodzącym i pod Napoleonem pod Waterloo zgromionym znajdowały się szeregi kółków do zawieszania kapeluszy i płaszczów.

Przeznaczenie tej izby mogło niebywałemu w świecie człowiekowi wydać się zagadkowym. Te dwa krzesła odosobnione i obiciem wyszczególnione i ten stół przed niemi, co by to znaczyło? Stoły podobne służą inżynierom do kreślenia planów i mapp. A te stołki w tak znacznej ilości? A te kołki na ścianie? Domyślać się należy, że się tu ludzie w znaczniejszej schodzą ilości i rozdzielają się na dwie części: do jednej odpada tylko dwóch, dla których krzesła pod zwierciadłem postawiono, do drugiej reszta, publiczność.

Do izby tej przez dzień cały żywy duch nie wchodzi, z wyjątkiem posługacza, co ją wymiata i lampy napędza. Wieczorem w ciemnościach tonie aż do godziny około dziesiątej i gdyby kto w niej przed dziesiątą przebywał, to słyszałby obok, za drzwiami i ścianami, gwałt ludzi, brzęk szkła i talerzy i stuk kul bilardowych. Słyszaliby też niekiedy muzykę lub śpiewanie, przy akompaniamencie harfy. Do izby owej bowiem przylegały salon i pokoje, urządzone w sposób taki, że się od razu poznawało w nich kawiarnio-restaurację europejską.

Jakoż, w rzeczy samej, była to kawiarnio-restauracja. Świadczył o tem szyld złocisty na zewnątrz po francuzku: *Café-Restaurant*. Wewnątrz, brakowało jej tylko czystości, elegancji i usługi zręcznej a mogłaby ująć za paryżką.

Zakład ten atoli, w charakterze swoim kawiarnio-restauracyjnym, obchodzi nas niemniej. Uwaga nasza ześrodkowuje się głównie na owej izbie tajemniczej, tonącej w ciemnościach do godziny około dziesiątej.

Wybiła dziewiąta, ciemno w niej i głucho. Drzwi na klucze pozamykane. Od dziewiątej co chwila, jedno z tych drzwi, środkowe mianowicie, otworzyć ktoś próbuje, nadaremnie jednak. O wpół do dziesiątej otwierają się drzwi boczne i wchodzi przez nie człowiek, który niesie świecę w rękę i którego czynnością najpierwszą jest pozamykanie okienic, pozapuszczanie stor i pozapalenie lamp. Robi się nagle jasno. Człowiek ten, zrobiwszy jasność, wychodzi i po chwili powraca, dźwigając pod pachą szkatułkę podłużną i zwitek sukna zielonego. Sukno rozściela na stole, wygładza fałdy, strzepuje pył i na suknie, na podęcz temu, co zasiąść na stojącym na prawo krześle obitem, stawia szkatułkę. Następnie rozgląda się po izbie, poprawia stołki, spogląda na lampy, wychodzi i jeszcze raz powraca, wnosząc dwa ciężkie dwuramienne lichtarze z wprawionymi w nie świecami stearynowymi, które stawia na stole, naprzeciwko krzesła skórą obitych. Na tem kończy się czynność człowieka tego — wychodzi i już więcej nie wraca.

Po wyjściu człowieka tego, drzwi środkowe przestają stawić opór tym, co je otwierać próbują. Rozpoczyna się niezmiennie w dniu każdym od tego, że

wchodzi ktoś jeden, najpierwszy i wydaje okrzyk zdziwienia:

— O? nikogo!...

Zbliża się do stołu, przypatruje się szkatułce głowę przekrzywiając, dotyka się jej palcem, klepie po niej dłonią lub puka w nią, a wtem wchodzi ktoś drugi. Pierwszy rękę od szkatuły umknął, o stół się oparł przybierając pozę od niechęcia, głowę do góry podniósł i pogwizdywać zaczął. Drugi przypatruje się pierwszemu i z ukosa na szkatułę spogląda. Wchodzi niebawem trzeci. Jeżeli to znajomy jednego z dwóch tamtych, odbywa się przywitanie i zawiązuje rozmowa — rozmowa, z której nie się dowiedzieć nie można o przeznaczeniu tej izby, a w ciągu której liczba wchodzących powiększa się, powiększa tak dalece, że, gdyby wszyscy usiąść chcieli, to liczba stołków okazałaby się niedostateczną. Większa część ich jednak o siedzeniu ani myśli. Kilku tylko, starszych i poważniejszych, przysunęło sobie stołki do stołu i pozajmowali miejsce. Paru z nich łokciami się podparło, lub też dłonie na stole, a brody na dłoniach złożyło. Reszta pogrupowała się w kupki oddzielne, rozmawiają, żartują, śmieją się.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOWINY PARYZKIE.

Paryż w kwietniu.

Nasi panowie reprezentanci, którzy prócz chaosu nic nie reprezentują — po długich kłótniach — nie zrobiwszy przez cały ciąg swoich sessyj nic pożytecznego pod żadnym względem dla kraju, dali sobie 40 dni wakacyj i rozjechali się każdy w swoją stronę. — Szczęśliwa droga. — Ale niestety! radość jaką sprawia wszystkim zawieszenie czasowe tych bezpłodnych obradowań, nie jest wolna od trosk, bo każde stronnictwo wróci z nowym zapasem planów i projektów, spotkanie się więc ich, tak samo jak starcie się chmur napełnionych przeciwną elektrycznością, skończyć się może piorunami.

Wyszedł tu przed kilkunastu dniami z pod pióra pana Vuillota, redaktora ultra katolickiego dziennika „l'Univers“ bardzo ciekawy artykuł, malujący doskonale położenie obecne — przytoczę tu ustęp z tego artykułu, gdyż jest charakterystyczny.

Vuillot, mówiąc o dzisiejszej władzy, tak się wyraża: „Czy to jest Septennat<sup>1)</sup> czy tylko poprostu Mac-Mahonnat? Przypuszczenia i tłumaczenia, co do tej kwestyi, są najrozmaitsze. Póki marszałek żyje, jest to Septennat, jeśliby zaś umarł w ciągu swego panowania, Septennat umrze z nim razem, choćby nawet istnienie jego było na samym początku i w takim razie będzie to tylko Mac-Mahonnat. — Otóż trudno jest sobie wyobrazić Mac-Mahonnat bez Mac-Mahona. Potrzebne więc jest prawo co by zmieniło nazwę tej *sztuczki* — i dało jej inną nazwę — na przykład, możnaby ją ochrzcić mianem Brogionatu, jeśli pan de Broglie ma być następcą Mac-Mahona. W takim razie urząd stałby się Septennatem sześćdziesięcioletnim lub sześciomiesięcznym, lub dożywotnim, bo jeśli prawo zabrania skrócać termin, nie wyrzekło wszakże wcale żeby za pomocą nowego prawa nie można było rozszerzyć tego peryodu. Co to za korzystna rzecz dla władzy mózdz w każdej chwili, w jednym mgnieniu oka, sporządzać nowe ustawy. Za pomocą tego cudownego sposobu, można nie wychodząc nigdy z *tymczasowości*, zostawać zawsze *dans le définitif*. Wyborna to inwencya, bo jest się na wieki pozbawionym praw, a jednak nigdy ich nie braknie.“

\* \* \*

Depesza telegraficzna z Sidney (w Australii) pod datą 30 marca, oznajmiła Paryżanom przybycie tam Rochefort'a z kilku innymi komunistami skazanymi na deportację do Nowej Kaledonii, z kąd udało się im uciec.

<sup>1)</sup> Nazwa dana przez monarchistów siedmioletniej prezydenturze Mac-Mahona, dlatego aby nie wspomnieć o republice.



Towarzyszami Rochefort'a są sami dygnitarze komuny: Regère, Verlière, Pascal Grousset i Jourde. Dwaj pierwsi i Rochefort skazani byli na osadzenie w fortecy, Grousset zaś i Jourde, tylko na wygnanie. Uciezka tych dwóch pojmuje się łatwo — ale wymkniecie się Rochefort'a, Regèra i Verlière, daje się tylko wytłumaczyć wpływem tych, którzy w chwili sądu stanowili o ich losie.

W dzisiejszym społeczeństwie francuskim każdy *Barabaz* z wyższej warstwy społecznej, przystrojony w cierniową koronę, znajdzie zawsze protektora. Ci tylko, co godni są litości nie znajdują jej.

Kto był winniejszym w ostatniej wojnie domowej, czy lud ślepy który podburzono, w imię zagrożonej przez monarchistów republiki, czy mnerowist, którzy popchnęli go do walki? Kto ma choć odrobinę sumienia, nie może niedopatrzyć różnicy stopnia winy między jednymi i drugimi. Cóż więc było pobudką, że zwolniono karę rozmyślnym łotrom politycznym, którzy dla wyniesienia się osobistego wylewali krew bliźnich, a utrzymywano ją dla tych co się stali ich ofiarami. Nie mowa tu o wielkich winowajcach, przekonanych o zabójstwo, o podpalanie, i t. d... tych rozstrzelano — mówię tu o biednych ludziach żonatych, o ojcach licznych rodzin, ślepych moralnie, których zmuszano terroryzmem do wzięcia za broń. Czyż godziło się stawiać ich na równi, z takim naprzykład dziennikarzem jak Marotteau, który z cynizmem nie dającym się opisać, zachęcał lud do rozputy, i przy strasznym a głupim wykrzykniku: *mort à Dieu!* wzywał go do zamordowania arcy-biskupa.

Czyż więcej był wart Rochefort, słusznie nazwany „*farceur sinistre*“ cynik, półgłówek i tchórz, który siedząc w kacie podzegał do bratobójczej walki — a kiedy krew się lała, on przy grzmocie działał i kartażownie (rzecz nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa) zabawiał się kalamburami. W każdym numerze jego dziennika, jedna a czasami i dwie kolumny poświęcone były kalamburom. A Pascal Grousset? *minister spraw zagranicznych* podczas komuny, (nie zmyślam, to rzecz autentyczna), który brał zawsze udział w obradach ówczesnych władz. stolicy i podpisywał dekreta — czy mniej był winny niż charłak jaki, który chciał go naśladować? Podczas walki ulicznej, ten wysoki dygnitarz był pod skrzydłem opieki jakiejś trzeciorzędnej Aspazji i ukrywał się w jej mieszkaniu przebrany za białogłową, w sukni z ogonem i z kokami na głowie — *c'est hideux!* Dziś ten *Mignon* jest już może w drodze do Anglii, dokąd przybywszy niebawem, za pomocą swojej wdzięcznej powierzchowności, podbije zapewne serce jakiejś nadobnej miss ze złotym warkoczem i wzmnie milion posagu. Rochefort będzie miewał odczyty o swoich przygodach i zarobiwszy dużo pieniędzy, założy dziennik, który będą sobie Paryżanie wydzierać, a tysiące biedaków co zostało w nowej Kaledonii, będą wlec żywot pełen nędzy i rozpacz, bez najmniejszego nawet promyka nadziei doczekania się lepszej przyszłości.

Ci, których tu przytoczyłem imiona, skazani byli przynajmniej na deportację, tymczasem kiedy malarz Courbet, co podał pierwszy myśl wyrócenia kolumny Vendôme i przyłożył rękę do wykonania tego projektu, został uznany mniej winnym od wszystkich, bo skazano go tylko na 6 miesięcy więzienia i 500 franków kary pieniężnej. To dopiero zgroza!

W społeczeństwie sfalszowanym, względy światowe waga zawsze więcej niż sprawiedliwość i prawda. Z tego to źródła płyną męty, pokusy, zgorzenia, za które trzeba nieraz ciężko pokutować.

Solidarność między ludźmi wyższych szczebli społecznych — jest wielka; podtrzymują i zasłaniają się jak mogą. Bardzo też często cierpi na tem sprawiedliwość; bo sądownictwa dla ocalenia pozorów, to jest, aby ludzie mali nie mogli powiedzieć, że jakiś wielki pan jest łajdaczyną, że jakaś wielka pani jest kobietą złych obyczajów, zaciera ją sprawy ważne dla uniknięcia skandalu.

Proces wytoczony przez księżnę de Bauffremont mężowi, o separację, jest jednym z najcharakterystyczniejszych przykładów spraw tego rodzaju i objaśnia zarazem moje założenie. Księżę de Bauffremont, pułkownik kawalerii (w czynnej służbie) jest typem cynicznego rozpustnika; księżna zaś jest zacną, nieposzlakowaną moralności osobą. Sprawa ta ciągnęła się lat sześć, a z pewnością skończyłaby się była na niczem, gdyby księżna nie posiadała dostatecznych funduszy dla doprowadzenia

jej do końca. Pobudki jej były ważne — gdyż mając dwoje dzieci, nie mogła pozwolić, aby fundusz jej osobisty był roztrwonionym przez męża. Żądała ona naprzód separacji bez wyprowadzenia na jaw gorszących faktów. Ale że księciu dobrze było z posagiem, nie chciał on w żaden sposób zezwolić na rozdział, ufając, że wpływami rozległych swoich stosunków, potrafi udaremnić starania żony i będzie mógł nadal rozporządzać jej mieniem wedle swego upodobania. Upór ten z jego strony, stał się przyczyną, że chwycono się ostatecznych środków i rzucano księciu publicznie w oczy wszystkie dawne i świeże jego bezceństwa, oparte na niezbitych dowodach, a w liczbie tych zarzutów były i takie, za które prawo karze galerami.

Księżna miała za sobą tak silne poparcie, a dowody przeciw mężowi były tak miazdzące, że niepodobna było odmówić separacji. Wygrała więc po 6 latach swój proces. Ale z tego faktu każdy zrozumie, że tysiące innych kobiet równie uczciwych i w położeniu równie bolesnym, a nie mających ani protekty, ani pieniędzy, musiałyby koniecznie paść ofiarą braku sprawiedliwości sądowej, i wlec do śmierci najnędniejszy żywot, w najohydniejszym jarzmie — bo tu separacja może się tylko dopełnić albo dobrowolnie, albo przez wcale nie łatwe wykazanie powodów. Żonę wydalającą się z domu dla najsłuszniejszych pobudek, a nie wskutek prawnej separacji, maż ma prawo zmusić do powrotu — i użyć do tego dzieła — ramienia policyi.

\* \* \*

Ulewa dramatyczna nie ustaje w Paryżu — nowe sztuki spiją się gradem. W teatrze du Gymnase, dwie nowe sztuczki: *le Cadeau du beau-père* i *Brulons Voltaire*. W teatrze des Bouffes Parisiennes, dwie nowe operetki: *Bouton perdu* i *Marié depuis midi*. Nadmieniam o tych sztuczkach, *par acquit de conscience* — gdyż żadna z nich niewarta rozbiur.

W teatrze Cluny, dwie nowe reprezentacje w tygodniu *l'Aveu* i *la Femme de Paillass*, dramat w 6 aktach. Ten ostatni utrzymuje się zapewne dłużej na afiszu niż wiele innych. Jest to opieprzona mieszanina rozmaitych zawitych przygód, w które wchodzi otrucia, kradzieże, fałszerstwa różnego rodzaju i najrozmaitszych gatunków osoby. Zaczawszy od tych które są niby śmietanką społeczną, aż do tych, którzy są jej najkwaśniejszą i najbrzydliwszą serwatką.

Autorem tego dramatu jest Xawery de Montepin, felietonista, którego specjalność zasadza się na tworzeniu charakterów potwornych, nie dlatego jednak aby miała ztąd wypłynąć jaka nauka dla publiczności — bynajmniej. Bagatela tego rodzaju nie może być celem autora. Jego maniera służy mu do otrzymania daleko korzystniejszego rezultatu: mnóży tomy. Wziąwszy zbrodnię od kolebki, w pączku, przeprowadza ją autor przez wszystkie fazy rozkwitu, aż do jej owocu. — Czytelnik odetchnął, zdaje mu się że już koniec — gruba omyłka. — Autor z owocu zbrodni robi marynatę, to co zdawało się być końcem, staje się nowym początkiem. Tu prerażony czytelnik dostaje gorączki, wścieka się, klnie — nie pomoże. Musi, rad nie rad, połknąć kilka tomów więcej. Mistrzem w tym rodzaju był Ponson du Terrail; umarł już — niech mu lekka będzie ziemia! To dopiero był majster — lubiono go też bardzo — ziarna które rzucał w grunt społeczny przyniosły obfite owoce: urodził się z nich niejeden galerlik.

Z każdego romansu p. de Montepin można zrobić przynajmniej parę dramatów. *La femme de Paillass* jest wycinkiem z romansu przerobionym dla sceny. Całą zaletą tego dramatu jest ruch — *cela marche*, jak to mówią Francuzi. Co do osnowy — najkorzystniej się ona wyda, kiedy o niej zamileję.

Przed dwudziestu laty, przy wesołym obiedzie, Aleks. Dumas założył się z kilku przyjaciółmi, że napisze w przeciągu trzech dni pięcioaktową sztukę. Jakoż zasiadł do pracy i wygrał zakład; komedia ta miała być grana w Teatrze francuskim; ale cenzura zażądała zmian. — Dumas wymagania jej odrzucił i komedję swoją powiózł do Brukselli, gdzie była przyjęta i miała 60 reprezentacji. Taż sama komedia, nosząca tytuł „*Młodość Ludwika XIV.*“, przerobiona niby przez Dumasa Syna, wystąpiła w pierwszej połowie marca w Odeonie, gdzie ma dotąd wielkie powodzenie.

Komedia ta osnutą jest na miłoszkach Ludwika XIV z Maryą Mancini, siostrzenicą kardynała Mazariniego.

Pierwszy akt jest szkicem politycznym ówczesnej chwili i pierwszym zarysem miłości króla dla siostrzenicy kardynała. Uzupełnia go reprezentacja Moliera znakomicie oddana.

Drugi akt przedstawia polowanie w lesie Vincennes przerwane burzą. Pod owym tradycyjnym dębem, gdzie Ludwik Sw. dawał posłuchania i rozsądzał sprawy, Ludwik XIV składa w obec całego dworu hołdy swoje Maryi Mancini.

W czwartym akcie wśród wielu komplikacji, król przebrany w celu miłosnym za muszkietera, stojąc na warcie w dziedzińcu zamkowym, odkrywa rywalą i podchwytuje razem nowinę, którą kardynał chce zatrzymać przy sobie, zwiastując że Filip IV król hiszpański zezwala na małżeństwo infantki Maryi Teresy z królem francuskim.

W piątym akcie Ludwik XIV staje przeobrażony. Najprzód daje on czuć parlamentowi wędzidło królewskiej władzy — potem zdobywa się na odwagę oświadczenia Maryi Mancini, że nierozważna ich miłość nie może mieć jutra. Ale zaledwo odeszła, młody monarcha pochwycony nowym paroksyzmem miłości, wyznaje kardynałowi, że kocha jego siostrzenicę i prosi go o jej rękę. Kardynał odpowiada, że za nadto honoru, wszakże jeśli taka jest wola królewska, gotów jest poddać się jej. — Żądam rady twojej, rzecze mu król, kogo mam posłubić czy infantkę czy siostrzenicę twoją? — Kardynał rzuca się królowi do nóg i mówi: — Przedewszystkiem wielkość Francji i twoja, królu — żeń się z infantką. — To nie u mych stóp powinienes wymawiać te słowa (odpowiada mu król), ale na mem sercu. Tu kardynał rzuca się w objęcia monarchy. Scena ta jest bardzo piękna i pełna porwyającego ruchu. Zresztą komedia ta w całości swojej, tak pod względem powiązania wypadków i ich układu, jak równie pod względem uwytatnienia charakterów i ogólnego kolorytu, da się zaliczyć do najlepszych utworów tego rodzaju. Przytem świetność wystawy scenicznej jest nadzwyczajna, a gra aktorów doskonała. Lafontaine w roli kardynała niezrównany, a jest to rola bardzo trudna; bo Dumas syn, trzymając się ściśle woli ojca, który chciał aby szeplenienie czyli włoski akcent kardynała, był zachowany — położył to Lafontainowi za warunek. Lafontaine wywiązał się z tej trudności z niesłychanym talentem — opisać tego nie można, potrzeba widzieć i słyszeć. Nadać szeplenieniu tak naturalny ton akcentu, aby nie zepsuł w niczem zewnętrznej godności wielkiego dygnitarza, i nie wywołał uśmiechu na usta krytyków, jest to, un tour de force, który przez ludzi tylko fachowych może być należycie ocenionym.

\* \* \*

Z powodu nowego dzieła Wiktora Hugo (*Quatre vingt treize*) wypada mi powiedzieć słówko o tutejszych recenzentach i roztrząsać choć pobieżnie, jak się wywiązali ze swego obowiązku w tej okoliczności.

Są dwie kategorie recenzentów. Jedna składa się z adoratorów bezwzględnych Wiktora Hugo, i z ludzi kochających piękno, których zachwyca malowidło autora-artysty. Druga zaś kategoria składa się z zoilów i z ludzi patrzących na wszystko przez wyłączną konserwatorską przyzmę, nieprzyjaciół z urodzenia każdego śmiałego lotu ducha. Dla tych, Wiktor Hugo jest niegodnym sekciarzem, obalającym piękny dzisiejszy porządek społeczny — jednym słowem, un homme abominable!

Nie znam drapieźniejszej istoty jak konserwatysta francuzki, kiedy mu kto błysnie w oczy światłem wyższej idei i zakłóci jego epikurejski pokój ducha. Tygrys przebudzony nagle w swoim legowisku jest w porównaniu z nim łagodnym barankiem.

Rzecz prosta, że zarzuty idące od tej ostatniej kategorii krytyków, nie mogą mieć charakteru bezstronności. Zarzucają głównie autorowi, że apoteozuje mordy. Zaskarżenie to jest zupełnie fałszywe i bezzasadne.

Wiktor Hugo mówiąc o tych groźnych czasach, tak się wyraża: „Zarysowuje się wielka, tajemnicza rzecz — ale dzieło widzialne maszuje dzieło niewidzialne. Dzieło widzialne jest dzikie i okrutne — dzieło niewidzialne jest szczytne“ (sublime).

Kiedy Cimourdin zapytuje skazanego na śmierć



Gauvina, czy on rozgrzesza owe straszne widome dzieło, — Gauvin odpowiada: „Tak, bo to jest burza, a burza wie co robi. — Za jeden dąb obalony ileż to oczyszczonych lasów. Cywilizacja miała dzumię; ten wielki wiatr oswobodził ją od niej. Devant l'horreur du miasme, je comprends la terreur du soufflé.“

Jest w tych słowach wielka głębokość i wielka prawda. Żaden człowiek ze zdrowym rozsądkiem nie weźmie ich za apologię zbrodni. Są one raczej komentarzem tego, co kościół katolicki nazywa „Dopuszczeniem Bożem, za grzechy.“

Kiedy po piekielnej walce przy zdobyciu wieży, Lentenac wzruszony rozpaczą nieszczęśliwej matki, ocala dzieci i czynem tym rozbraja żołnierzy i Gauvina, autor streszcza tę chwilę w następujący sposób.

Wmieszkała się do tej sprawy *sila słabych*. Nigdy w żadnej bitwie nie objawił się wyraźniej szatan i Bóg. — Ludzkość zwyciężyła nieludzkość! a jakiej użyła broni do pokonania tego kolosu złości i nienawiści? kolebki.

Jest to myśl szczytna.

Dzieło, w którym dobre uczucie wygrywa, jest niezaprzeczenie moralnym dziełem. Krytykowanie drobniaków jak to czynią niektórzy, c'est l'oeuvre des petits esprits — kilka łupinek plewy w korcu pszenicy nie zmniejszają jej wartości.

Ma wprawdzie to dzieło i stronę ujemną, nawet bardzo rażącą — ale żaden z recenzentów paryskich nie dostrzegł jej. Widzą oni złe tam gdzie go nie ma, a nie widzą dobrego, tam gdzie jest. Nie może jednak być inaczej. Dla amatorów romansu pana Belot „La femme de feu,“ dzieło Wiktora Hugo nie może mieć żadnego powabu, bo niema w niem nic dla rozkoszy zmysłów. Wszystko jest z ducha i przemawia do ducha.

Ujemna strona dzieła o której wspominałem, znajduje się w jego konkluzji, to jest w rozmowie przedśmiertnej Gauvina z Cimourdinem, którzy uosabiają dwie tendencje, czyli raczej niższy i wyższy szczebel pojęć republikańskich.

Uroczyste i prorocze słowa które autor kładzie w usta Gauwinowi, i wyłączny koloryt jakiego użył do odmalowania tej postaci, pokazują widocznie, że włożył on w nią cały swój kapitał moralny. Typ ten jest szczytem jego pojęć, uczuć i dążeń politycznych.

Otóż, wedle mego przekonania, cały ten ustęp jest słaby, bez poezyi i nie odpowiada bynajmniej całości. Jest to poprostu powtórzenie znanego powszechnie programu nowej szkoły socjalistów, który nie ma nic wspólnego z dążnościami humanitarną pierwszej francuskiej republiki. Ubarwił autor ten program kwiatami retoryki, ale te sztuczne ozdoby nie nadają mu żadnej realnej wartości. Jeśli ten program ma być treścią owego *szczytnego niewidzialnego dzieła*, które maskowała groźna epoka 1793 roku, to śmiało rzec można, że autor omylił się w zdaniu. Niektóre proklamacje i akta konwencji noszą znamię daleko wyższych pojęć, wznioślejszych aspiracji ducha, i ukazują narodowi wcale inną perspektywę.

Perspektywa obrazu, który odmalował Wiktor Hugo jest wcale inna — nie widać w niej żadnej drogi obowiązków humanitarnych, żadnego szczytu, żadnej świątyni. Za czasów konwencji był duch poświęcenia i wiedza obowiązków narodowych. Tu zaś są tylko formułki szczytne, fałszujące ideał narodowy.

Nie tak pojmował ideę republikańską Barbès, to też nie należał on do Ligi Pokoju, której członkami byli Cobden i Wiktor Hugo, i w chwili kiedy gotował się najazd na Francję, nie bawił się propagowaniem rozzbrojenia.

T. R.

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

**Kaprys Maryany** — dramat w dwóch aktach, przez Alf. de Musset.

W obszerniejszym studium nad tym poetą, wyraziliśmy się tak między innymi: „Musset należy do

tych poetów, którzy czują fatalność nicestwa ciążyąca na młodym pokoleniu, wzrastającą ze zgubnym posiewem w piersiach. Nie zdołał się z niej otrząsnąć, ale sam upadając moralnie, nie świecąc własnym przykładem innym, jakby po jego geniuszu wymagać należało, zgodził się otwarć na wyznanie winy, ochrzciwszy ją nazwą „choroby wieku“ siebie zaś „dziecięcia wieku“. Jakkolwiek odnosi się to głównie do jego „Spowiedzi dziecięcia wieku“, przecież w każdym niemal jego większym lub mniejszym utworze, dopatrzeć łatwo tej filozofii subtelnie rozkładowej. Co smutniejsze nad to, bo tem większy nadaje walor jego dziełom, to że wrażliwość jego i uczucie jako w prawdziwym poecie, są najrzeczywiście przez niego samego odczute i nie przechodzą nigdy w retoryzm, bo nie były ukute na chłódno, ale wzruszają mimo swej odrębności głęboko. Nietylko więc drobniejsze poezye, nietylko większe dzieła napisane prozą, ale i jego fantazyjne dramatyczne, noszą na sobie tę wybitną cechę dziwniej i smętniej oryginalności, która je wręcz wyróżnia od wszystkich utworów obcych. Tak np. „A quoi revient les jeunes filles“ „On ne badine pas avec l'Amour“; „Les Caprices de Marianne“ i inne, — są istotnie kaprysami, w których obserwacja i szal, melancholia i śmiech, wyobraźnia i humor, zachwycają naprzemian i zdumiewają, a więcej jeszcze czytelnika niż widza.

Nie trzeba też Musseta posądzać o szekspiryzm, bo choć czasami psychologiczna konsekwencja nasuwa nam na myśl arcy mistrza, przecież proceder Musseta jest całkiem odrębny, w prowadzeniu zaś intrygi i jej niespodzianek, wręcz przeciwny. Nareszcie kiedy Szekspir nigdy nie schodzi z podstawy ogólnoludzkiej, do której domierza ludzi, Musset nie troszczy się o nią, ale tworzy sobie właściwą, niecodzienną, a przecież niemniej prawdopodobną sprawiedliwość. Dla czego człek gorący i szlachetny pokochał kobietę zimną, niepoetyczną i innemi rządzącą się instynktami, — dla czego ta kobieta pokochała człowieka, który sobie ją lekceważył i o nią nie dba, — dla czego tamten nieszczęśliwy ginie marnie? Tysiące pytań, na które jedna jest tylko odpowiedź: Tak chciał fatalistyczny pogląd poety na świat i ludzi, który mimo, że fatalistyczny, nie jest nieprawdziwym ani przesadzonym; — tak chciał indywidualizm jego zrażonego głęboko uczucia, zacerpany w osobistych przygodach i w usposobieniu współczesnej chwili.

Pod włoskiem niebem, w najczudniejszej świata tego siedzibie, w Neapolu — mieszka stary, zły śmieszny podesta z młodziutką, piękną, klasztornie wychowaną żoną Maryaną.

Pożycie zdaje się być spokojnem i szczęśliwem; matka Maryany, przebiegła kobieta, związała to stadło, upatrując w niem szczęście. Zawsze też trzyma strony swego zięcia, ilekroć zasięgają jej rady. Maryana jest cnotliwą, tak ją przynajmniej zwie głupi a wierny jak pies, sługa podesty Tibio. Nie bywa nigdzie, tylko na mszy w kościele, nie przyjmuje nikogo, — nie marzy o nikim i nie cierpi serenad, które jej od niejakiego czasu wyprawia ktoś pod oknem. Piękny, z szlachetnej rodziny, bogaty Celio — kocha ją oddawna, ale ani zbliżyć się do niej, ani przemówić nie śmie. Czci ją jak bóstwo, jak anioła — idealnie. Gotów dla niej do najszlachetniejszych poświęceń, lecz jest smutny, milezący, melancholijny. Gdyby nie jego przyjaciel Oktawiusz, poniósłby do grobu tajemnicę, ale Oktawiusz nie daje mu spokoju, widzi jego twarz bladą i znękaną i domaga się zwierzenia. Celio zwierza się i prosi, aby jako kuzyn Maryany, przemówił za nim. Dla Oktawiusza adwokatować przyjacielowi rzecz błaha, — gadałby z najpierwszym światła monarchą z równą swobodą jak z pierwszym lepszym, ale jakoś niema zaufania do sympatyj dla siebie Maryany, a więcej jeszcze do jej męża, którym się brzydzi jako najgłupszym pedantem. Z tem wszystkiem zaczyna te dziwne rodzaju swaty. Maryana zrazu zdziwiona, potem oburzona, potem wpada w ironię, szydząc z adwokata i z bronionego. Ale już niepokój i dziwna ciekawość wkradły się w jej serce, — już ją zajmuje przedmiot sam popierany gorąco, namiętnie i swobodnie, jak to bywa zwyczajem we Włoszech, gdzie prawie o miłości a odrychać, to jedno — a wkrótce zaczyna ją zajmować... nie Celio, nie broniony, ale jego rzecznik. W pięknym, poetycznym, złotem i ironią przetykanym dyalogach, scierają się ze sobą: Maryanna z Okta-

wiuszem; ona coraz bardziej podrażniona, on coraz ognistszy w sprawie ukochanego druha, prawie, która na krok nie postąpiła naprzód, ale znacznie się pogorszyła... mimo jego woli i chęci.

Fatalność w postaci zazdrośnego męża, zacisnęła nagle węzeł nie dający się rozwikłać, chyba cięciem miecza. W najwyższej zazdrości wyrzuca małżonek brutalnie Maryanie, że rozmawia z Oktawiuszem, zakazuje jej tego i grozi karą. „Jaką?“ pyta niewinna dotąd żona. „Jaką — jaką? pyta się sama silnie rozburzona, drżąca cała z gniewu i obrażonej godności. „Ciekawam co mi zrobi“ — pyta się znowu siebie i Oktawiusza. Niezręczny małżonek, pozwolił wybuchnąć drżemiącym złym instynktom. — Maryana teraz już pozwala na serenadę, której słuchać będzie stojąc przy oknie, pozwala na... zabiegi miłosne, bo pewną jest, że ukochanym będzie Oktawiusz nie Celio, bo czuje się pociągniętą nie do duszy czystej i wzniosłej, ale do szczerze-zmysłowej natury Oktawiusza. W tem tkwi druga fatalność, a zarazem najkrwawsza ironia przeznaczenia. Mniej nas obchodzi, że Celio zostaje przez pomyłkę zamiast Oktawiusza zabitym, ale nas boli, że tak skrzyżowały się uczucia, które, — zgadzając się na moral takiego nokturna włoskiego, — zupełnie inaczej zetknąć się były powinny. Kobieta we wszystkich utworach Musseta jest ową córą Ewy, w której pierwiastek zły, szkodzący innym z wiedzą lub bezwiednie, zawsze przeważa i zgębi niewinnego i zmiecie szczęście z tamąd, gdzieby zakwitnąć było powinno. Kobiety Musseta zdradzają zawsze, umyślnie, uczuwając pewną w tem rozkosz, lub idąc za jakimś ślepym instynktem zniszczenia. Najlepsza z nich — jak owa bohaterka w „Spowiedzi dziecięcia wieku“ po najgorętszej miłości... przestaje kochać.

Maryana z ostatnich dopiero słów Oktawiusza dowiaduje się że nie jest kochaną, że jej wyrzeczenie się dobrowolne niewieściego wstydu, jej zerwanie z mężem, na nic się nie przydało, bo — jak ją druzgoczącą słowem oświeca Oktawiusz: — Celio ją kochał, zatem Celia kochać była według tej logiki powinna. Obrazek ten dramatyczny jak wszystkie Musseta utwory utkany z lekkich, przejrzystych osłon szeleszczących jedwabiem, woniących różami, ale i jak one kłujących zdradliwie, — przenosi widza na chwilę w światek całkiem inny, fantastyczny, rozkołysujący wyobraźnią, smętny głęboko i w smętne prowadzący marzenie. Wiarołomstwo zamierzone Maryany, tak jest dalekie od wiarołomstwa brutalnych Dumasa; logika zakochanych Musseta, tak jest ponętą i tak odmienną od logiki realistycznej — nagiej tamtego, i ostateczne wrażenie tak niepodobne do wrażeń zatrujących: „Żony Klaudyusza“; „Księżnej Jerzowej“ a nawet „Pana Alfonsa“, że odradu czujemy się przeniesieni z jednej epoki w drugą nie o lat dziesiątek, ale chyba o wiek cały. Mimo chorobliwego technienia utworów Musseta, znać jednak wszędzie uwielbienie ideału, chociaż wyrażone często w jęku bezsilnej rozpacz i osamotnionego zniechęcenia; — dyalektyka poety nie przestaje być poezją na chwilę, gdy Dumas każe nam w sztukach swoich, słuchać kazań utylitarnych w dziwnie przyrządzonej formie. Z Mussetem utrzymamy się zawsze na wyżynach piękna, z Dumase schodzimy w sute renę najbrzydszej, a wcale niebudującej rzeczywistości.

Zdaje się nam, że się dłużej rozszerzać nie potrzebujemy nad wartością utworu i nad stosownością przedstawienia go na naszej scenie. Przywykli do grubych efektów, do logiki *bijącej w oczy*, do sytuacji drastycznych i paradoksów tem świetniejszych im fałszywszych, nie mają po co chodzić na przedstawienia „Kaprysu Maryany“. Lecz pragnący zwrotu w sztuce, pogodzą się z Mussetem i zapragną innych jeszcze jego utworów.

Co do gry artystów, — nie była ona w całości zadawalniająca na *pierwszem* przedstawieniu, wszakże w następnych, wygładała się w doskonalszej harmonii. Pani Modrzejewska jako *Maryana* — pochwyciła wszelkie subtelności i lekkie a dalekie wskazówki autora, przechodząc nagle ze spokoju martwego w rodzącą się ciekawość nowego uczucia, a sposób jej deklamacji rozumny, nadzwyczaj delikatnie cieniujący, doskonale uwydatnił trudny ten charakter.

P. Leszczyński zrazu spętany cokolwiek szczupłością Sceny Rozmaitości, — doszedł wszakże na Wiel-



kiej scenie, do werwy, jaka tu bezwarunkowo była potrzebna.

P. Ostrowski jako Claudio (podesta) umiał umiarkować komiczność nienikloną w charakterze, o którym się Maryana wyraża: „Czyż być może, żeby człowiek tak głupi, był tak okrutnym?”

Starannie odegrali swe role p. Tatarkiewicz (Celio) i pani Niewiarowska (Hermia). P. Damse tylko niepewnym stąpił krokiem, wyrzekając się, niewiedząc dla czego, humoru, którego tu było podostatkiem. Charakteryzacya zaś jego, była najzupełniej fałszywą, nie bowiem nie uprawniało sługę podesty do zapracowania sobie pijaństwem na nos czerwony.

Edward Lubowski.

## LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Wcale czem innym jest, niż się z tytułu wydaje: pani Jadwigi Dohm „*Jezuitizm w domu*“ (Der Jesuitismus im Hausstande. Berlin. Wiedekind. 1873).— Autorka zarzuca swym współ-rodaczkom zbytnią przez nie, z jezuickim obrachowaniem, przywiązaną wagę do gospodarstwa i kuchni, przez które starają się nadać sobie w oczach mężczyzn znaczenie, wskazując im, że go na innych drogach, umysłowej wyższości i wykształcenia szukać powinny. Pani Dohm znaną jest już z dawniej wydanego pisemka: „*Co pastorowie o kobietach myślą?*“ Tem się ona różni od swych współzawodniczek na polu literackim, że jest humorystką ostrą, złośliwą, nieubłąganą, szczególnie względem płci swojej. Niektóre ustępy, a jest ich wiele i zanadto, wyglądają, jak krytyka mężka powiada, na proste plotki przy kawie. Niezmiernie obszernie rozwodzi się pani Dohm: „o kobietach-gospośniach, które tak są oszczędne, że nawet bóle żołądka swych dzieci umieją kapitalizować (bo choremu dziecku jeść nie można); tak samo użytkowują kolki męzowskie (zabraniające piwa)—inne zaś panie małżonki pocieszają się po wyjeździe męża oszczędzonym masłem, sługom kaski liczą, a na gości z dobrym apetytem bardzo złem okiem spoglądają i t. d.“

Rysy te u nas wydadzą się przesadzonemi, w Niemczech przecie z życia są wzięte i to stanowi książki charakterystykę dla nas zajmującą.

Posłuchajmyż choć kawałka kazania tego osobliwszego pani Dohm: — „Niezmiernie ubolewam nad pobożnemi duszyczkami, które podrażnić i obrazić muszę, ale nie czuję święconego kadzidła w zapachu namydlonej bielizny, nie mogę dojrzeć żadnej aureoli nad jejmościny czepeczkiem i szlafmycą nocną... Gotowam wreszcie przypuścić, szanowne moje panie i gospodynie, że ognisko domowej kuchni jest ołtarzem, że igła jest świętym symbolem, że z balii do prania dobywa się wóń pokrzepiająca — zgoda — ale w takim razie kucharka będzie tak samo kapłanką jak pani. — Dlaczegoż utrzymujecie, że kobieta z miłością może tylko pracować, prasować, a nie rysować też, malować, rachunki prowadzić, książki pisać, na fortepianie grać, nauczać — czyż miłość wyłącznie jest przywiązaną tylko do igielki i żelazka? Czy ma ją zapach farby olejnej i czernidła drukarskiego udusić? Kto podobniejszy jest do amazońki: pani ze szczytką i rozpuszczonemi czepka wstęgami, pani na drabinie, pani rozpinająca bieliznę do suszenia na sznurach, pani krwawą siekającą wątrobę i ujadająca się o parę groszy z przekupką, — czy pani w cichym pokoju przy nauce, rozprawiająca o ideałach, uprawiająca sztukę, lub siedząca za kontuarem?”

Z tego łatwo poznać, o co idzie pani Dohm, a co po części usprawiedliwia początek mojego listu. W Niemczech więc właśnie w tym kierunku czują potrzebę pracować nad kobietami, w którym u nas ledwieby nie należało je powstrzymywać. U nas za mało może kuchni i bielizny, a za wiele i za wyjątkowo fortepianów i książek; w Niemczech kuchnia i bielizna zabija wszystko. Panna bez roboty w ręku wstydziłaby się pokazać w ogródku, posadzono by ją o próżniactwo i złą-by sobie zyskała sławę, dlatego choć nie wiele robi, ale pończoszkę lub igłę

trzyma w ręku dla pozorów, nawet w niedzielę. Obyczaj tu całkiem, jak widzicie, inny. U nas się nie potrzebnie tego wstydzą, z czego tu przebiegłe i nie szczerze szukają zalety. Świat inny. Pani Dohm wymaga wykształcenia gruntowniejszego, a tego i u nas pewnie pożądałyby należało, gdyż wychowanie w ogóle oparte na nabyciu pozornych talentów i pozornego ukształcenia, ma tę wadę wspólną u nas i w Niemczech.

Zupełnie przeciwnym znowu jest cel książeczki pani Maryi Calm: „*Kobiece działanie w kuchni, domu i salonie*“ (Berlin. Staude). Pani Calm bierze za godło: „To co się zrobić musi, należy wykonać dobrze“. Książeczkę tę możemy polecić, napisana mile i z umiarkowaniem, a w zadaniu swem ma zupełną słuszność.

Dalej idzie rozprawka pani Berty Alrebi (Berlin, Gutstedt) „*Wykształcenie kobiet i stowarzyszenia kobiece*“, w której się dowodzi potrzeba stowarzyszeń dla osamotnionych kobiet, a szczególnie dziewcząt. Dawniej — powiada ona — klasztor dawał przytułek i schronienie kobiecie, która nie miała nikogo, dziś, gdy (u protestantów) klasztorów braknie, społeczność powinna się postarać je zastąpić, a środkiem będą stowarzyszenia. Oprócz tego pani Alrebi żąda dla kobiet utworzenia Akademii, Liceów i wyższych zakładów. W Berlinie istnieje już taki rodzaj klubu czy towarzystwa kobiecego na Aleksander-strasse Nr 75, z którym się łączy restauracya, biblioteka, liceum i szkoła rysunkowa. Bliższych szczegółów urzędzenia nie znamy.

Spisujemy wszystko, co możemy znaleźć, choćby przytoczonym w pismach niemieckich. Wychodząc z założenia „że kobieta ma prawo do wszelkiej pracy, do której jest uzdolnioną“, podaje nam p. Moritz Müller: „*Aforyzmy w kwestyi kobiet*“, jako wspomnienie zjazdu odbytego w Stuttgarcie (Pforzheim. 1873). Jestto dopełnienie kwestyi roztrząsanych, w sposób popularny i dla klas średnich szczególnie przeznaczona.

Znanego dzieła „*O kobietach i ich powołaniu*“ pani Ludwigi Büchner, wyszła już edycya czwarta poprawna. Pani Büchner idzie o zupełne równouprawnienie, najprzód w obec szkoły, potem, jako następstwo, w obec społecznych stosunków.

Na zakończenie tego spisu, podamy jeszcze odczyt pani Henryety Goldschmidt: „*O wpływie kobiety na rodzinę i społeczeństwo*“ (Lipsk. Fischer. 1874 r.) Pani Goldschmidt trzeźwo i praktycznie widzi zadanie, ale rozstrzygać go stanowczo nie śmie. Wszystko zależy na wychowaniu, największa więc waga i tu przywiązana jest do niego.

Zdaje mi się, że ważniejszym, niż wszystkie rozumowania na drodze teoryi, symptomatem uznanej potrzeby rozwiązania tej kwestyi wychowania kobiecego, jest fakt następujący. Najbardziej zachowawczego ducha, torysowski uniwersytet oxfordski, który zowią pospolicie uniwersytetem starej Anglii, uległ nareszcie prądowi powszechnemu. Podkanclerzy uniwersytetu Dr Liddell, zgodził się na urządzenie odczytów dla kobiet. Przygotowano salę i z końcem styczniacya profesor Johnson z A. M. Sonts-College rozpoczął wykład historyi Anglii, dla siedmdziesięciu słuchaczek... (jakże ma być?—nie wiem). Oprócz tego mnogiemi podpisami opatrzona petycja żąda, aby kobiety do egzaminów uniwersyteckich zostały przypuszczonemi, co zapewne otrzymają.

Ciekawe, ale smutne szczegóły z życia ludu angielskiego i kobiet, żon żołnierzy, podaje pamiętnik oficera kawalerji angielskiej. Ledwie do uwierzenia, a jednak prawdziwym jest, że za wojskiem angielskiem, na wojnę nawet, ciągnie długi szereg żon i dzieci i że w koszarach też, obok większości żołnierzy nie mających towarzyszek, mieszcza się całe rodziny w jednych izbach z nie zameźniami. Smutny to i dziwny wizerunek wyjątkowych stosunków, które, jak utrzymuje autor, mają i pewną dobrą stronę, a nie zawsze źle wpływały na usposobienia i obyczaje. Jednakże jest w tem coś tak rażącego, iż wzdrzamy się w całej rozciągłości powtórzyć opis pożycia małżeństw w koszarach i wychowania dzieci w nich, pośród żołnierzy zajmujących się z wielką troskliwością nauką połykania porteru i palenia fajki. Któżby się domyślił, że w wojsku tak znakomicie urządzonem, u narodu, który wyprzedza inne cywilizacya, coś podobnego tolerowanem i uprawnianem być może. Niemcy chlubią się tem, iż w koszarach i wojsku w ogóle prześcignęły Anglików.

Sądę, że pośmiertne dzieło Mérimée'go: „*Listy do nieznanomej*“ wydane przez Taine'a, które w Niemczech nadszczęcaj wielkie miało powodzenie, i w ogólności jest jednym z najrozgłoszonych w tej chwili pism francuzkich (wyjąwszy Wiktora Hugo Rok 93)—już i w naszych dziennikach literaturą się zajmujących wspomnianem być musiało. Zaprawdę, z pewnych względów książka to oryginalna: napisała się sama, nie będąc przeznaczoną dla ogółu czytelników, maluje stan ducha z jakimby się autor wcale może popisywać nie myślał przed ludźmi. Jest to zrezygnowany sceptycyzm, chorobliwe usposobienie spowiadające się wyszukaniem i wdzięcznym a dowcipnym stylem z symptomatów choroby nieuleczonej. Mérimée należał do osób mile widzianych na dworze Napoleona i cesarzowej Eugonii, czytywał tam dla rozrywki, często nie bardzo budujące powiastki fantastyczne. Z wielką zręcznością i pięknym językiem, błyskotek pełnym, obrabiał on najrozmaitsze przedmioty, między innymi epizody z historyi Kozaków, z dziejów Rosyi i Polski. Ażeby dać wyobrazenie jak dobrze był do tego i sumieniem przygotowanym, warto zajrzeć do jednego z listów tych do nieznanomej. Mérimée zapytuje jej czyby też kto nie mógł go objaśnić, azali miasto Leopold zwane, nie jest czasem jednym i tem samem co pewny gród zwany „Lwów“ *Et c'est ainsi qu'on écrit l'histoire!* Mérimée jest bardzo dowcipnym, lecz jednostajny ton sarkastyczno-sentymentalny, ironiczno-chłodny tych listów pełnych „samego siebie“ w końcu nuży i litość tylko obudza nad zwichniętym ezłowiekiem. Jest to oryginalny w swoim rodzaju typ literata z czasów Napoleońskich. W Niemczech znalazł on uznanie już dla sceptycyzmu, który się tu podoba zwykle, już dlatego, że maluje miejscami Francję nie w najświetniejszych barwach. Jako pewien rodzaj historyi choroby ducha ludzkiego, zbiór ten listów ma swą wartość, chociaż autor częstokroć „pozuje“. Mnóstwo drobnych szczegółów niezapisanych gdzie indziej, a objaśniających historję ostatnich wypadków we Francyi—daje mu wartość materiału historycznego.

Z literatury francuzkiej warte także wspomnienia fantastyczne opowiadania pani Sand dla wnuczków swoich, pełne wdzięku, które i starzy przeczytać mogą z zajęciem. Forma zawsze piękna i myśl, a fantazyja poruszająca się dzielnie, mimo wieku autorki. Na dziełach pani Sand mamy przykład: jak się człowiek przekształca, wyrabia, udoskonala, dojrzewa, jak w nim przymioty jego i wady uwydatniają się, nikną, ścierają, w nieustannej pracy nad sobą. Od Indyany i Lelli do powiastek fantastycznych, co za droga przebieżona, jak dziwne i uczące metamorfozy!

## Z WYSTAWY TOWARZYSTWA ZACHEŃTY Sztuk Pięknych.

Jedną z charakterystycznych cech dzisiejszych czasów jest w literaturze nadmierna produkcya powieści, i to przeważnie obyczajowych, realistycznie odwzorowywanych kalejdoskopu życia; ten sam kierunek odbija się w ogóle w sztukach pięknych: w malarstwie obrazy potoczne, odpowiadające powieściowej literaturze, stanowią we wszystkich krajach ogólną masę produkcyi, z pośród której rzadko jaki utwór wielkiego stylu wypływa. Nawet religijne i historyczne obrazy traktowane są potocznie, jak tego niedawno na Jawnogrzecznicy *Siemiradzkiego* przykład mieliśmy. Zwiedzający przeszłoroczną wystawę Wiedeńską, mogli się przekonać, że i rzeźba, głównie przez Włochów reprezentowana, zesła także do odwzorowywania potocznego życia. Wielbiono nadzwyczajną doskonałość wykonania, tak jak ją i w wielu utworach powieściowych, lub malarskich wielbić można; skala jednak poglądu na świat względnie nader drobna, pozioma, realistyczna. O jeden stopień niżej, a może dojdziemy do zadawalniania się samemi fotograficznymi reprodukcjami. Ideał coraz bardziej staje się niezrozumiałym—*Bogowie uchodzą*. Tu i ówdzie rozważniejsi chcieliby zatrzymać lub zwrócić ten kierunek, ale pieniom ich, lub utworom sztuki plastycznej, jako dziełom raczej rozwagi i kombinacyi, niż natchnienia, brak siły; owszem



zwykle celuje je wymuszoność, suchość, lub przesada. Zdebywają tak zwany *succès d'estime* i toną w zapomnieniu fali. Spóźnieni, liczni jeszcze choć drobni lirycy, czują potrzebę protestacyi w imieniu poezyi; rzadko przecież z której już piersi wyjdzie coś więcej nad trawestacyą Byrona, Musseta i Heinego, lub jaką filantropijną tyradę, coś dla potrzeby żłobków, lub pieśń do tanich kuchni.

Przy takim ogólnym nastroju i kierunku umysłów w Europie, któremu i my w literaturze i w poezyi ulegać poczynamy w młodszej generacyi; dziwny, oryginalny, a pewno pociesający przedstawia widok szkoła polska w malarstwie i rzeźbie. Cechuje ją stanowczo, nietyle rozwąga ile natchnieniem kierowana skłonność do wielkiego, historycznego stylu; a tam gdzie siły lub okoliczności przy potocznym malarstwie pozostać każą, nastrój ten objawia się w podnioslejszym poglądzie na sztukę i życie; w szlachetniejszym traktowaniu powszednich tematów życia.

Kilkadziesiąt lat temu na wyrażenie: szkoła polska, każdy cudzoziemiec czy rodak słusznieby wrzucił ramionami. Nietylko artystów polskich nie było; nietylko nie było żadnych szkół, muzeów, towarzystw, mających rozbudzenie artystycznej działalności na celu; ale nawet wierzone mocno, jak w artykule wiary, że ani temperament historyczny narodu, ani mgliste niebo północy do takiego rozwoju się nie nadają. Prawdziwie, na rozprawiających o malowaniu obrazów w Polsce, patrzano wówczas tak, jakby patrzano na tych, coby na sandomierskiej glebie próbowali siać pieprz zamiast pszenicy.

Na przekór własnej niewiarze, mamy dziś poważny zastęp malarzy i rzeźbiarzy; a co dziwniejsza jeszcze, nie są to bezmyślni naśladowcy, kopicieci dawnej rozkwitłej na zachodzie sztuki, ani ulegający prądom, jakie się w niej współcześnie objawiają: owszem ogólny charakter wszystkich utworów polskiej sztuki, czy to w Warszawie, czy Krakowie, Wiedniu, lub Mnichowie produkowanych, jest przeciwny panującemu obecnie w Europie: objawia dążność do poważnego, wielkiego stylu, który jedynie może odrodzić sztukę.

Już pierwsze jej zaczątki (w obecnym wieku) kierunek ten wskazywały. Naiwne, sentymentalne, idealistyczne, czasem bez pojęcia o technice wykonania, mocne były szlachetnością idei, stałą pretensją do wielkości. Pretensją taką urzeczywistnił nareszcie ten artysta, który do szlachetności i wzniosłości idei dołączył twórczość i silne realistyczne wykonanie, będące owocem talentu, wytrwałej pracy i wszechstronnego ukształcenia.

Tylko połączenie tych trzech warunków prowadzi na wyżyny, na których stali Michał Anioł, Rafael, Leonardoda Vinci i Rubens. „Geniusz to cierpliwość“ powiedział Goethe: Zbyt to może niemieckie pojmowanie geniuszu, w każdym razie ma za sobą choć ową trzęsącą część prawdy, której nam dotąd brakowało.

Co się tyczy mistrza, o którym mówimy, Matejki, i on bezwątpienia geniusz, jaki od natury otrzymał, musiał okupić cierpliwością i mozolną pracą. Każdy geniusz jest pionierem; odkrywa i toruje nowe drogi, tam gdzie ogół przywykł żadnych nie widzieć. „Jan Kochanowski nad zwłokami Urszuli“; „Śmierć Wapowskiego“; „Jan Kazimierz patrzący na pałac się Kraków“; „Zygmunt August i Barbara“; „Wit Stwoszc“; „Sędziów“; to stopnie po których w ciężkiej pracy mistrz kroczył, zanim imię swoje po szerokim świecie rozgłosił.

Obecnie od trzech miesięcy Warszawa w swoich murach posiada jeden z wielkich utworów Matejki, pierwszy który jego imię znanem w Europie uczynił, „Kazanie skargi“. Wielokrotnie już pisywane i robierane w korespondencyach lub osobnych artykułach, reprodukowane w drzeworytach i fotograficznych odbitkach, mniej wabi ku sobie ogół, nowości i nadzwyczajności cheiwy, ile prawdziwych wielbicieli sztuki. A jednak „Kazanie Skargi“ należy do takich utworów, przed którymi można całe godziny na medytacyi trawić.

Ażebymy jakie dzieło na nazwę prawdziwie historycznego zasługiwało, musi obok faktu z życia narodu, zawierać treść ogólnie ludzką, religijną, lub filozoficzną; taki też ogólnie ludzki pierwiastek cechuje dzieło o którym mówimy. Historia święta zarówno

jak świecka, mnóstwo nam stawia przykładów, iż w okresie pomyślności narodów, zwykle, niestety, nadużywanej i na złe obracanej, zjawiali się mężowie, bądź Duchem Bożym natchnieni, bądź wiedzeni wyższą mądrością ludzką i cnotą, dającą im jaśniejszy pogląd na sprawy świata i smutny dar przewidywania, którzy ostrzegali o złem, gromili nadużycia i zapowiadali kary. *Mane Tekel Fares* powtarzało się w dziejach ludzkości na różny sposób i fatalnie się sprawdzało. Fakt tego rodzaju pobudza do rozmyślenia zarówno teologa jak filozofa, uderza zarówno uczonego jak prostaczka; przemawia do rozumu i serca, jest więc niewątpliwie pierwszorzędnym dla poety i artysty. Przedewszystkiem więc przyznać musimy autorowi „Kazania Skargi“ umiejętność wyboru przedmiotu.

Jeżeli wybór ten świadczy o poetycznym usposobieniu artysty, to kompozycya, wcielenie idei, jest dowodem jego twórczości. „Kazanie Skargi“ ma wszystkie cechy ogólne, o jakich wspomnieliśmy wyżej, obok najbardziej szczegółowej charakterystyki czasu i miejsca. Nie jest to już więc abstrakcyja, ani symbol, przeciwnie jest fakt, pełnia życia historycznego, z której pełnia idei dobitnie przemawia—słowem jest dzieło sztuki.

Środki obrane dla wyrażenia idei są równie proste jak odpowiednie. Prorok starotestamentowy, gromiący zepsucie i zapowiadający kary, tu, stosownie do epoki, pojawia się w osobie prostego kapłana, odbywającego czynność tak pospolitą, tak powszednią, jak kazanie. Kazanie to wprawdzie przed królem i licznym zgromadzeniem dostojników kościelnych i świeckich, przed reprezentantami narodu, niemniej jednak fakt nie występuje poza zwykłe życia rubryki. Nawet i ta okoliczność, że książd ów gromi surowo, nie zmienia w niczem zewnętrzną pospolitoci fakt—jużci nie będzie prawil komplementów na kazaniu. Przy całym bogactwie ekspozycyi, jakiego dozwalał taki przedmiot, jak kazanie przed królem i w obec zebranych stanów, treść zalecałaby się zaledwie ze względów malowniczości, gdyby nie groza straszego proroctwa, jaka nad tą chwilą ulata, a jaka nadzwyczajna postać kaznodziei i wstrząśnięte rysy twarzy wielu słuchaczy patrzącemu przywodzą na pamięć.

I właśnie ta zewnętrzna pospolitoci zdarzenia, jakim jest dworskie kazanie; obojętność lub niechęć z jaką druga część słuchaczy przyjmuje natchnione słowa kaznodziei; w przeciwstawieniu ze Skargą i tymi, którzy go pojmują choć w części, stanowi dramatycznosci kompozycyi. Oto fatum już się unosi nad temi głowami. W całym tem gronie przewodników państwa widzi je jeden tylko książd natchniony, jakby błyskawicą tknięty, a błyskawica ta przemienie, i jego samego może w niejasnem rozumieniu położenia zostawi. Ze słuchaczów niektórzy ulegają przerażeniu: zakrywają sobie oczy łzami zalane, lub ręce w modlitwie składają, ale po przejściu pobożnego wzruszenia, któz tam będzie tak bardzo brał do serca słowa kazania? Toz książd nie jest ani politykiem, ani ekonomikiem, ani statystą—rzeczy pójdą swoim torem.

Obraz uwidocznia dwa momenta fatalne: proroctwo i że rzeczy pójdą swoim torem. W tym leży tragicznosci kompozycyi. Pierwszy moment wcielił się w postać kaznodziei, drugi w ogół słuchaczy.

Niezrównanej piękności jest postać owego kapłana—proroka. Na podwyższeniu, wprost królewskiego tronu, górując po nad tłumem, wśród żarliwego kazania, Skarga jest jakby rażony nadziemskim widzeniem. Plastiknie uwidomia to także promień słońca padający w tej chwili na niego. Rzut obu rąk w górę doskonale charakteryzuje stan duszy i akcyę tej głównej osoby obrazu. Zarazem bardzo dobrze zastępuje on otwarcie ust, któremby może mniej zręczny kompozytor chciał cechować kaznodzieję. Jednocześnie odpowiadające temu ruchowi podniesienie głowy, oczy pełne łez, zachwyty i zgromy, twarz szlachetna, rozplamioniona pracą ducha usiłującego wstrząsnąć słuchaczami i wlać w nich swoje przekonanie, dopełniają imponującej całości.

Postać ta jest tak wspaniała, iż mimo nader silnej charakterystyki wielu pierwszoplanowych figur, mimo bogactwa wyrazu, postawy, draperyi i kolorytu, które na wszystkich punktach oko widza pociągają, stanowi wydatne ognisko obrazu. Niezmierna plastyka tych postaci sprawia, iż wpatrzywszy się w obraz przenosimy się weń myślą niebawem, zatapia-

my się w nim i zdaje się nam, iż zajęliśmy miejsce w tem poważnem gronie, że i na naszą głowę owe groźne słowa podają.

Wśród płaczących, modlących się, zamysłonych, obojętnych, śpiących wreszcie, sterzą obok siebie trzy ponure, harde, gniewne, a jednak zawstydzone postacie: Janusza Radziwiłła, Mikołaja Zebrzydowskiego i Stanisława Stadnickiego. Wyrzuty które kaznodzieja całemu czyni stanowi ich mocniej dotyczą. Jedną rolę grają w obrazie, a jakże mocno urozmaiconą odcieniami charakterystyki. Na każdej z tych twarzy cała historia poiego przygód i namietności życia się maluje. Postacie innych możnowładców równe przedstawiają bogactwo i prawdę charakterystyki: niektóre twarze jaśnieją powagą, rozumem, wolą; inne obok cech arystokratycznych, pewną pospolitoci umysłu lub charakteru zdradzają. Król siedzi sztywny, milczący; na twarzy jego widnieje skrytość i upór: niedarmo go współczesni ani przychylni *Niemym Szwedem* przewalili. Poważne te surowe oblicza poprzetykał artysta ślicznymi chłopięcimi główkami. W stallach reprezentacya kobiet składa się ze zgrzybiałej, nieruchomej Firlejowej, w sobolowej czapce; starej, ale o pięknem, prawdziwie świętem obliczu Anny Jagiellonki, i młodej w pełni rozkwitu Katarzyny Ostrogskiej, której postawa, ruch i wyraz twarzy najwyższe malują wzruszenie.

Nie będziemy się zapuszczali w wyliczanie szczegółów, piękności, lub usterek, tylokrotnie już opisywanego obrazu. Rozmaitosci i prawda fizyonomii składają się w nim na dramat bogaty jak życie. Rzecz wiadoma, że postacie pędzla Matejki wdrażają się w pamięć i pozostają w niej na zawsze wraz z dobrze znajomymi z życia osobami. Faktu tego nie tłumaczy sama siła, która jest cechą malarskiego talentu Matejki; ale to że ów artysta jest dobrym psychologiem. Kreacya poetyczna lub artystyczna, która takiego gruntu nie posiada, nigdy się jasno w duszy naszej nie odzwierciedli.

Z pomiędzy artystów warszawskich jeden *Wojciech Gerson* z rzeczywistym zamiłowaniem i powodzeniem uprawia malarstwo historyczne. Jego piękny karton „Kopernik w Rzymie“ bezwątpienia pamiętają w Warszawie wszyscy zwolennicy sztuki. P. Gerson przy teoretycznym wykształceniu, posiada talent twórczy; jeżeli jednak Matejce czasami zarzucić można zbyt siłę, to Gersona zawsze o jej brak winić można. Usuwając jednak na bok wszelkie porównania, przyznać należy iż działalność artystyczna Gersona ze wszelkimi mier godna uwagi. Jego najnowszy utwór „Uwięzienie Kiejstuta i Witolda przez Jagiełłę w roku 1382“ ma wszystkie zalety historycznej kompozycyi. Obraz ten, wielki rozmiarem i stylem, przedstawia chwilę, w której pogański jeszcze Jagiełło, ale niepodzielający już politycznych poglądów swego stryja, pewno zaś i ambicyą wiedziony, wabi do swego namiotu nieugiętego obrońcę narodowych bogów i wraz z synem Witoldem, podstępnie każe go kuć w kajdany. Kiejstut przewieziony do Wilna, wkrótce potem kończy życie tajemniczą śmiercią; Witold zawdzięcza ocalenie tylko bohaterskiemu poświęceniu się żony. Jest to więc ważny moment historyczny, niepozabawiony dramatycznosci, chociaż idea jego jest zbyt skomplikowana i dla tego trudna do uwytatnienia pędzlem. Obraz też nie zawiera wszystkich motywów danej chwili. Ani postać Jagiełły, ani Kiejstuta i Witolda nie tłumaczą wyraźnie wzajemnego ich względem siebie stanowiska, niewytatniają ważności faktu, który się właśnie spełnia.

W namiocie na podwyższeniu, wspierając się o poręcz tronu, w obszernej zielonej oponczy, z łańcuchem złotym na szyi, w czapce futrzanej, stoi wielki książd litewski. Gest i wyraz twarzy, surowej a chytrej, wskazują, iż właśnie wydał rozkaz uwięzienia stryja i brata stryjecznego. Tuż za wielkim księciem po lewej jego stronie, stoi człek Proksza, z twarzą przewrotnego dworaka i zdaje się szeptami utwierdzać swego władcę w powziętem postanowieniu, w koło tych dwóch postaci, na ławie wzdłuż ścian namiotu, po prawej stronie obrazu, żywą, rozmową zajęci, siedzą książęta Olgiardowicze: Korybut, Włodzimierz, Lichwen, Korygiełło, Swidrygiełło. Na przeciw tej grupy, po lewej stronie obrazu, od strony wejścia do namiotu, stoi Kiejstut, w towarzystwie Wigunta, brata Jagiełły, Patryka i Zygmunta, synów swoich; poniżej nich, ku przodowi obrazu, klęczący Witold w rozpaczy twarz sobie zakrywa, a przy nim żona jego Anna, także klęcząca, ale z pod-



niesioną głową, zwraca błagalne słowa do Jagielly. W tyle za Kiejstutem stoi już żołnierz z kajdanami w ręku; naszkicowana straż na dalszym planie, zamyka obraz z tej strony.

Żywe rozprawy rady królewskiej, oburzenie grupy książąt zdradzonych, pełna wyrazu, patetyczna twarz Anny księżniczki, nadają życie obrazowi; charakterystyka fizjonomii i ruchów jest bogata i właściwa, z wyjątkiem jednego Kiejstuta, co jednak ze względu na znaczenie tej postaci w obrazie, doniosły wyjątek stanowi. W ogóle siła dramatyczna za mała. Na uznanie za to zasługują staranne studia archeologiczne, równowaga linii bardzo dobrze utrzymana; rozkład grup umiejętny; nawet koloryt silniejszy niż w poprzednich pracach tego artysty.

(Dokończenie nastąpi).

## O TELEGRAFACH ELEKTRYCZNYCH

(sprawozdanie z prelekcji p. Eug. Dziewulskiego).

W dalszym ciągu prelekcji na osady rolne w dniach 11 i 15 marca, odbyły się w sali ratuszowej dwa odczyty o telegrafach elektrycznych wyprzedzane przez p. Eugeniusza Dziewulskiego asystenta przy katedrze fizyki. Na obie te prelekcje zgrupowała się b. licznie publiczność, świadcząc zarazem tak o dobrym wyborze tematu, jako też o słusznym wyrobionej opinii o p. Dz. jako o jednym z najzdolniejszych naszych prelegentów.

P. D. rozpoczął odczyt od udzielenia dla mało obeznanych z przedmiotem głównych wiadomości o elektryczności dynamicznej, t. j. elektryczności w ruchu, stanowiącej prąd galwaniczny. Z pomiędzy wielu działań prądu galwanicznego, dwa znalazły zastosowanie w telegrafii, a mianowicie działania chemiczne i elektromagnetyczne. Prąd galwaniczny rozkłada wodę na części składowe: tlen i wodór, wywiązujące się w postaci pęcherzyków gazu; jeszcze więc w roku 1811 Semmering proponował, aby dla każdej litery przeprowadzić dwa druty mogące być dowolnie złączone ze stosem. Jeśli na końcach drutów przymocujemy blaszki platynowe zanurzone w wodzie zakwaszonej, a drugie końce połączymy ze stosem, wtedy na blaszkach odpowiadających pewnej literze wywiązuje się będą pęcherzyki gazowe, a telegrafista będzie mieć już jedną literę depeszy.

Łatwo zrozumieć, że podobne odbieranie depeszy byłoby zbyt kłopotliwe i nużące.

W roku 1819 Oerstad w Kopenhadze dociekł, że prąd galwaniczny wprowadza igłę magnesową z południkowego położenia. Profesor Gans zaprowadził pierwszy telegraf elektryczny, przeprowadziwszy druty łączące stos znajdujący się na stacyi z kądem wysyłamy depeszę z igiełką, umieszczoną na drugiej stacyi; igiełka ta pod wpływem prądu zbacała w jedną lub drugą stronę i z tych zboczeń formowany był alfabet.

Pierwszy zaś telegraf, który długo bardzo używany był na liniach do przesłania depesz zbudował angielski uczoney Wheatstone. Telegraf ten składa się z dwóch cyferblatów opatrzonych literami alfabetu i cyframi, na każdym z nich znajduje się skazówka. Przesuwając na cyferblacie stacyi wysyłającej depeszę, skazówkę od A dajmy na to do K zamykamy i przerywamy prąd galwaniczny tyle razy, ile liter znajduje się między A i K — Na stacyi odbierającej depeszę drut, po którym prąd przechodzi owinięty jest około kawałka miękkiego żelaza. Miękkie żelazo w chwili kiedy prąd przebiega, staje się magnesem i przyciąga wychwył kotwicy posuwający skazówkę o jedną literę — a więc skoro na stacyi wysyłającej skazówka przeszła do K to i na stacyi odbierającej depeszę zatrzyma się na K; i tak dalej przesłamy literę po literze.

Manipulacja ta jest bardzo łatwa, każdy może

przesyłać i odbierać depeszę, ale depesza taka nie pozostawia żadnego śladu, a telegraf w rękach ludzi mało sumiennych łatwo może być środkiem do wielkich nadużyć.

Amerikanin Morse zbudował na podstawie elektromagnesu telegraf znany pod jego nazwiskiem i najpowszechniej do dziś dnia używany, którego zasada jest następująca: Prąd galwaniczny wychodzący ze stacyi może być zamykany lub przerywany za pomocą klucza podobnego do przycisku używanego do odbijania nagłówek na listowym papierze. Prąd ten może być albo zamknięty na jedną chwilę, albo na czas nieco dłuższy. Prąd przebiegający po drucie do następnej stacyi, zamienia dwa walce z miękkiego żelaza owinięte tymże drutem (izolowanym, t. j. okroczonym w zły przewodnik, np. wełnę lub jedwab) w magnesy, magnesy te przyciągają kotwicę z miękkiego żelaza umieszczoną na ruchomym drążku — a sztyft doń przymocowany na pasku papieru rozwijającym się za pomocą mechanizmu zegarowego odciska kropki lub kreski, zależnie od tego, czy prąd trwał jedną chwilę, czy cokolwiek dłużej. Z kropek i kresk ułożony jest alfabet. Telegrafista jest w stanie słysząc uderzenia, rozumieć depeszę i w taki sposób między kolegami odległymi o setki wiorst odbywa się nieraz rozmowa.

Nowszym daleko wynalazkiem jest drukujący telegraf Hughesa opisany również przez prelegenta. Nie możemy się jednak tu wdawać w opis tego przyrządu, bardzo skomplikowanego. Jako ostatni wyraz telegrafii p. Dziewulski opisał, tak zwany pantelegraf Casellego, za pomocą którego można przesyłać własnoręczne depesze i rysunki.

Zasada pantelegrafu polega na chemicznym działaniu prądu galwanicznego na niektóre sole żelaza, jak np. żółty żelazo-cyanek potassu.

Pantelegraf składa się podobnie jak i inne telegrafy z dwóch przyrządów: wysyłającego depeszę i odbierającego takową na innej stacyi. W obu przyrządach wahadła siłą prądu galwanicznego wykonywają jednocześnie poruszenia w tę i w ową stronę. Sztyfty wprawiane w ruch za pomocą wahadeł poruszają się po tak zwanych stołach przechodząc szeregiem poruszeń całą takowych powierzchnię.

Chcąc przesłać depeszę, piszemy na blaszce cynfolii atramentem niepuszczającym prądu. Skoro sztyft przechodzi po cynfolii, prąd idzie do ziemi, będącej ogólnym zbiornikiem elektryczności. Kiedy jednak sztyft znajduje się na miejscu gdzie atrament nie przepuszcza do ziemi prądu, wtedy prąd przechodzi na następną stacyę. Na tej stacyi stół przygotowany do odbierania depeszy, pokryty jest papierem, napojonym wspomnianym wyżej żelazocyankiem potassu. Po tym papierze przesuwają się poruszony wahadłem sztyft, przechodząc kolejno całą powierzchnię papieru. Jeśli ze stacyi wysyłającej depeszę przechodzi prąd, wtedy takowy rozkłada związek chemiczny, tworząc błękit pruski — w innych zaś miejscach odpowiadających miejscom niezapisanym, rozkład nie następuje. Tym sposobem otrzymujemy depeszę napisaną za pomocą bardzo delikatnych błękitnych kresk na papierze. Taki telegraf działa na kilku liniach francuzkich; w Rosyi zaś między Moskwą i Petersburgiem. Manipulacja z nim jest bardzo trudna.

Na drugiej prelekcji p. Dziewulski objaśnił jak pierwotkowo używane dwa druty zastąpiono z czasem jednym po przekonaniu się, że drugi może zastępować ziemię, albo mówiąc ściślej że ziemia jest dla prądów galwanicznych ogólnym zbiornikiem.

W tym celu na stacyi zapuszczają w studnię blachę miedzianą, połączoną z jednym biegunem stosu, drugi zaś biegun łączony być może z drutem. Aby po drucie przechodziła depesza, drut musi być od ziemi oddzielony, t. j. izolowany. Słupy jednak drewniane, szczególnie w czasie wilgotnym, przyprowadzałyby łatwo prąd do ziemi i dla tego drut umieszczony być musi na dzwonek porcelanowych, przymocowanych do słupów. Aby po dzwonekach

tych w czasie deszczu nie przechodził prąd na haki metalowe, służące do przymocowywania do słupów, dzwonki posiadają wewnątrz koliste wgłębienie, nie pokrywające się wilgocią. Wiatr uderzający o drut telegraficzny naciągnięty jak struna fortepiano wa, jak również wchodzący do kolistej wgłębienia jest przyczyną dźwięków branych przez nieświadomych za odgłos przesłanej depeszy. Strumień galwaniczny przechodzący po drutach, żadnego nie wydaje dźwięku.

Prąd galwaniczny słabnie w miarę odległości tak dalece, że na odległych stacyach niema dość siły, aby sztyft metalowy wyraźnie wytłaczał kropki i kreski w aparacie Morsa. Na każdej więc stacyi, znajdują się dwie baterie: jedna służąca do wysyłania depesz, druga, która za pomocą tak zwanego przenosiaka (relais), porusza miejscowy przyrząd do odbierania depesz.

Z pomocą wyborczego rysunku prelegent nadzwyczaj zrozumiale objaśnił jakim sposobem jeden drut może służyć kolejno do przesłania depesz w obydwie strony i jakim sposobem obie baterie, o których tylko co wspomnieliśmy, działają na aparaty. Następnie wyjaśnił potrzebę urządzenia przy aparatach telegraficznych piorunochronów zabezpieczających od nieszczęść, które niejednokrotnie się przytrafiały; przyczem opisał piorunochron najnowszej konstrukcji i okazał takowy w naturze.

Każdy przejeżdżający koleją Warszawsko-Wiedeńską lub Terespolską, zwracał zapewne uwagę na wielkie dzwonki żelazne, dające znać drożnikowi za pomocą pewnej liczby bardzo głośnych uderzeń, oruchu pociągów. P. Dziewulski objaśnił mechanizm tych dzwonek, okazując, że siła bijącej młotka pochodzi od zegarowej wagi, a prąd galwaniczny od machinki elektromagnetycznej zbudowanej przez Siemens'a i znajdującej się na każdej stacyi.

Oprócz telegrafii lądowej obznajmił p. Dziewulski swych słuchaczy z zasadami telegrafii podmorskiej. W telegrafach podmorskich drut służący do przesłania depesz, powinien być oddzielony od wody jak najdokładniej, aby takowa przez najmniejszą szczelinę doń nie przeniknęła, wtedy bowiem prąd galwaniczny zamiast na drugi brzeg ładu przechodzić będzie w wodę. W tym celu drut pokryty jest gutaperchą, dla wzmocnienia gutapercha ściągnięta jest warstwą niekręconych konopi i smoły, a następnie warstwą drutu żelaznego zabezpieczającego od zewnętrznych uszkodzeń. Drut ten pokryty jest jeszcze warstwą konopi napojonych smołą. Aby lina była dość mocną, powinna nie być zbyt cienka, nie może zaś być zbyt gruba, na powierzchni jej bowiem zewnętrznej, zbiera się przez wpływ elektryczność, mogąca zniszczyć warstwy okalające drut, aby połączyć się z różniamienną elektrycznością, znajdującą się na drucie. Naturalnie, że w takim razie lina przestałaby działać. Zwróciwszy uwagę na trudności, spotykane przy zanurzaniu liny, prelegent opisał przyrząd, służący do kontrolowania stanu liny przy samym jej zapuszczaniu. Prąd przechodzący po linie tak długiej jak atlantycka, zbyt jest już słabym, aby w tym razie można było używać zwykłych aparatów telegraficznych. Aparat służący do odbierania depesz przedstawia tu igła magnesowa, poruszająca się zależnie od tego, czy puścimy po linie prąd dodatni, czy ujemny w jedną lub drugą stronę. Wahania te jednak tak są nieznaczące, że na zwykłej igielce niepodobna byłaby ich spostrzedz. Igiełka więc opatrzona jest bardzo lekkim metalowym zwierciadłem. Zwierciadło zaś to odbija promień światła i rzuca go na lunetę, przy której nieustannie czuwać musi telegrafista. Prelegent pokazał na tablicach dwa alfabety telegraficzne, jeden Morsa, składający się z kresk i kropek, drugi z położenia igielki służący do telegrafii podmorskiej.

Ed. Plewiński.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści Middlemarch.

TREŚĆ: Tradycja i praca kobiet w Holandyi. — Zarnica, (dalszy ciąg), powieść bułgarska współczesna, przez Teod. Tom. Jeża. — Nowiny paryzkie, przez T. R. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Listy z zagranicy, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — Z wystawy towarzystwa zachęty sztuk pięknych, przez W. Bartkiewicza. — O telegrafach elektrycznych, Sprawozdanie z prelekcji, przez Ed. Plewińskiego.